

D.T. Dylejko

„Zanim się ściemni...”

19 czerwca, albo równie dobrze 25 grudnia 2207 roku, sam dokładnie nie wiem, od rozpoczęcia wojny nie miałem w rękach kalendarza, nawet nie potrafię liczyć, a co dopiero mowa o czytaniu... - To tylko cholerny żart – w końcu mam dyplom naczelnego inżyniera! Tak w ogóle zaczynając od początku to jak zapewne widzisz jestem ghulem, czyli czymś co gładkoskórkowie tacy jak ty nazywają chodzącą kupą gnijącego mięsa... trudno się z tym nie zgodzić, ale sam rozumiesz, że w naszym środowisku lepiej nie używaj takich określeń bo zawisniesz jak stary McGregor. Zobacz jak ładnie sobie dynda na sznurze przy północnej bramie, wiesz za co? No jasne, że kurwa nie! Użył tego plugawego określenia w złym miejscu i o kompletnie kurwa złej porze. Widzisz człowieku, jeden z tutejszych arystokratów brał ślub z pewną atrakcyjną ghulicą, a tak się składa, że nasz pleban miał wolny etat na ministranta, a ten biedny kretyń McGregor zgodził się mu pomagać w utrzymaniu kościoła w jako takim porządku. Otóż, kiedy państwo - Zawsze bawi mnie to określenie - „młodzi” - bo musisz wiedzieć, że my ghule dożywamy bardzo późnej starości patrząc na standardy ludzkie, żyjemy średnio po 230 lat. Dobra, do rzeczy. Kiedy państwo młodzi wychodzili z kościoła, biedny głupek McGregor wspiał się po sznurowej drabince na dzwonnicy, stojącą na żuźlowym placu tuż obok wyjścia z ruin starego kościoła, pech chciał, że dzień wcześniej spadł deszcz, co tutaj w przeciwieństwie do reszty pustkowia nie jest czymś specjalnym... zaraz, zaraz ale miałem nie o tym. Więc, kiedy był już na tej przeklętej dzwonnicy i zaczął ciągnąć za sznur, cała konstrukcja zaczęła się chwiać, co było spowodowane między kurwa innymi tym, że wczoraj spadł deszcz. Reszty możesz się domyślić sam.

- Eee, czyli McGregor rozbijał zbyt mocno dzwon i cała konstrukcja runęła w tym samym momencie, kiedy państwo młodzi wychodzili z kościoła i zgmiotła na miazgę nowożeńców?
- Nie zupełnie... - odparłem - waląca się konstrukcja naruszyła ogrodzenie, z tymi przeklętymi bestiami, jak wy je tam nazywacie, mają obrzydliwe cielska, ostre szpony i są nieokiełznane, no wiesz o co mi chodzi prawda?
- Szpony śmierci? - Zapytał człowiek.
- Niezupełnie.
- Więc co to było?
- Modliszki – odparłem - nastąpiła niezręczna cisza. To była straszliwa masakra, wygłodniałe zielone stwory, ruszyły całą watahą w kierunku przerażonych ghuli, widziałem jak jeden po

drugim moi współpracacia, kuzyni i na nieszczęście ciotka Rube są rozrywani na strzępy... a potem jak to pierdolone bydło składa jaja w zmasakrowanych zwłokach. Zanim zorientowałem się w sytuacji i zdążyłem zareagować, bestie uniosły chitynowe pokrywy pancerzy w górę i po chwili słychać już było tylko furkot skrzydeł przecinających powietrze i ta przeklętą chmarę zmierzającą w kierunku zachodzącego słońca.

- Uroczy widok prawda? - zapytałem.
- A co z rannymi? Nikogo nie udało się uratować? Gdzie byli strażnicy?, przecież wchodząc do miasta widziałem ich cały tuzin!
- Sprawa jest dosyć skomplikowana... Otóż nasz aparat administracyjny nieco kuleje, uzbrojeni ghule których widziałeś koło bramy faktycznie są strażnikami... tyle tylko, że mieli wtedy akurat przerwę.
- Jak to przerwę? - Zapytał ze zdziwieniem człowiek, na jego twarzy malowało się zmieszanie.
- No tak wykazało śledztwo, ale nie wnikajmy w szczegóły. Biuro zatrudnienia wynegocjowało właśnie takie warunki i nic na to nie da się poradzić.
- Nie wiem czy dobrze rozumiem, ale chyba starasz mi się powiedzieć, że w czasie kiedy ci najemnicy mają przerwę obiadową to bez względu na to, co by się działo nie sięgną po broń, bo mają po prostu przerwę?!
- Tak.
- Macie faktycznie problemy z administracją – odparł człowiek.
- W milczeniu skwitowałem wypowiedź gładkoskórka kiwnięciem głowy. Po raz kolejny zapanowała niezręczna cisza.

Zabawne jest to, że McGregor nie zginął pod ciężarem walącej się konstrukcji. Fart chciał, że to właśnie ów nieszczęsny dzwon ocalił mu życie. Kiedy uprzątnęliśmy ciała, przyszła kolej aby zająć się dzwonnica. Ekipa remontowa powoli usuwała drewnianą konstrukcję z placu, jak możesz się domyślić najwięcej problemu sprawił nam sam dzwon, który otworem czaszy przyłgął do wierzchniej warstwy wilgotnego żużlu. Przyssał się najzwyczajniej do gleby. Kiedy w końcu udało nam się go wywrócić na bok, okazało się, że w jego wnętrzu leżał McGregor skulony w kłębek, wyobraź sobie ten odór fekaliów, psującej się krwi i rozkładającego się ciała, jedna z jego nóg była pogruhotana i jak mi się zdawało zaczęła już wdawać się w nią gangrena. Odwrócenie czaszy dzwonu zajęło nam 4 dni, nie wiem jakim cudem, z tak poważnymi obrażeniami udało mu się tam przetrwać ale, kiedy go znaleźliśmy jeszcze żył!

Kiedy lekarze doprowadzili go w miarę do przyzwoitego stanu, nie licząc kikuta lewej nogi, którą trzeba było natychmiast amputować, przyszedł czas żeby wyjaśnić całą sytuację i ukarać ewentualnych winnych. Jak możesz się domyślić pod nóż rzeźnicki poszedł nie tylko McGregor, ale także konstruktor dzwonnicy, którym de facto, okazał się jego brat – Bill.

Gdyby zginął pod zwałami dzwonnicy, nie musielibyśmy wykonywać aż dwóch publicznych egzekucji, a w takim wypadku, to, że sam nie pozbawił się życia było potem konsekwencją tego, że musieliśmy mu je odebrać!

Ale zaraz, mówiłeś przecież, że powodem tego, że zawisnął było to, że użył słowa gładkoscórek? - powiedział człowiek.

Faktycznie, wybaczyć pomyłkę, chodziło mi o jego brata bliźniaka Billa - o którym już chyba wspominałem, z resztą wisi zaraz po drugiej stronie zewnętrznego muru.

- Czegoś tu nie rozumiem...

- Ja też nie, a to, że jestem stary nie oznacza, że jestem mądry, więc skończ już z tymi zbytecznymi pytaniami.

Człowiek jeszcze raz wyjrzał przez niewielkie okno zasłonięte starą potarganą kotarą i spojrzał w dół, faktycznie z fasady muru wystawała dosyć długa belka, na końcu której ktoś zręcznie zawiesił grubo plecioną linę, u jej końca zwisało bezwładne ciało nieboszczyka, zwłoki rzeczywiście pozbawione były jednej z kończyn. Wieczorną ciszę przerywał tylko ledwo słyszalny skrzyp naprężonej liny i dochodzące gdzieś z oddali kwilenie bezbronno niemowlęcia.

- Dobrej nocy – powiedziałem i nie usłyszawszy odpowiedzi wyszedłem.

*

Był ciepły majowy wieczór. Jak w każde popołudnie wracałem ze standardowego obchodu naszej małej, przytulnej osadki, a w zasadzie dzielnicy miasta, którą adoptowaliśmy do swoich potrzeb. Minęło już sporo czasu od momentu „błysku” jak zwykło mawiać się na okres przypadający na czas wielkiego wybuchu... Na gruzach miasta powoli zaczęło rozkwitać nowe życie, rodziły się zdrowe dzieci, które były w stanie przetrwać w tych surowych warunkach... rodziły się też chore... zdaje się, że te drugie radziły sobie nawet lepiej niż te pierwsze ale mniejsza z tym. Od nowa zaczęliśmy tworzyć prawo, organizować się w skupiska zdolne do obrony przed najeźdźcami. Najzwyczajniej w świecie próbowaliśmy podźwignąć się z popiołów. Hm trzeba przyznać, że my ghule całkiem dobrze radziliśmy sobie w wypalonym i niemal całkowicie wyniszczonym świecie, chyba nawet lepiej niż sami gładkoscórkowie, którzy ściągali nam na głowy całe to radioaktywne gówno. - Co to ja...? - A tak obchód. No więc szedłem sobie pomiędzy ruinami starego szpitala, który jest wschodnią granicą naszego terytorium i ni z tond ni zowąd napatoczyłem się na tego frajera. Leżał w swoich wybroczynach, flaki smród i tym podobne - sami rozumiecie. Już miałem skrócić jego męki silnym kopnięciem w krtań, ale ten bydlak otworzył wtedy oczy i wzrokiem podobnym do wzroku proszącego psa, patrzył się na mnie. Zacząłem go kopać ale on patrzył się nadal. Przestałem. Nie mogłem go tak zakatować na śmierć, w końcu zostało przecież we mnie trochę z człowieka... Mogę się łatwo usprawiedliwić - wydawało mi się, że lada chwila padnie, a tu proszę psikus! Wytrzymał całą serię z glanów po głowie... Twarda

sztuka. Zrzuciłem jego bezwładne ciało na plecy i ruszyłem w głąb osady. Wpompowaliśmy w niego hektolitry płynów anty radiacyjnych, żeby wypłukać to kurewstwo, które w siebie wchłonał. Siostra Percy pytała mnie co się stało z jego twarzą... - Przewrócił się – odparłem. Skwitowała to kiwnięciem głowy i dalej zajęła się opatrywaniem ran. Dwa tygodnie później człowiek był już w pełni zdrow, nazywał się Bofrowski – zastanawiałem się czego u nas szukał... Sierżant Burton wydobył z niego wkrótce całą prawdę... Mężczyzna ryzykując włamanie do strefy ghuli próbował wydostać z ruin szpitala jakieś medykamenty, które były potrzebne w jego osadzie. Szkoda, że mu się nie udało hehehe, z resztą gównu mnie to obchodzi. Moim zadaniem było przystosowanie go do życia za murami naszej osady, każdy, kto nie jest ghulem, a kto przestąpi ten próg już nigdy nie ma prawa opuścić tego miejsca – zasady to zasady. Bezpieczeństwo jest najważniejsze. Teraz chyba jasne jest dlaczego podałem przykład starego McGregora - Każdy kto stanowi jakiegokolwiek zagrożenie dla osady musi zostać wyeliminowany... swoją drogą publiczne egzekucje są całkiem sympatyczne, dają do myślenia. My ghule... - My ghule dbamy o swoje interesy, jeszcze jakieś sześćdziesiąt lat temu to słowo nie chciało mi przejść przez gardło... ale teraz...; teraz jest to rzeczywistość, którą oglądam w rozbitych kawałkach szkła, spoglądając w nie co rano. Zdawać by się mogło, że promieniowanie, które nie obeszło się z nami zbyt łaskawie, obdarzyło nas większą inteligencją niż ta, którą posiadają gładkoskórkowie... posunąłbym się nawet do tego, żeby określić się jako odrębną rasę... Wypada zadać pytanie ile wciąż mamy wspólnego z ludźmi? Hm, ludzkie ciało zaczyna cuchnąć, kiedy przestaje w nim krążyć ciepła krew... ciało ghula śmierdzi cały czas... gdzie tu do cholery jakaś styczna? Zdaje się, że jedyne co nas łączy to korzenie antropologiczne... ale w dzisiejszych czasach to i tak bez znaczenia, bo już od dwóch pokoleń nasze „kobiety” nie rodzą ludzi, tylko sobie podobne istoty. Mowa tutaj o całkiem nowej rasie... rasie, która jest w stanie ujarzmić te jałowe pustkowia. Zresztą wszyscy o tym wiedzą, nie warto nawet wspominać.

Poranek. Jak zwykle musiałem wstać razem z „kurami”, spakować do kabury mój niezawodny kozik do obierania ziemniaków i ponownie ruszyć na obchód tej zapadłej dziury. Po drodze zahaczyłem o dom Bofrowskiego, żeby zabrać go ze sobą i pokazać mu co i jak. Po kilku minutach byłem na miejscu. Uderzyłem pięścią w drewniane drzwi i krzyknąłem żeby się ubierał. Mężczyzna nie mając innego wyjścia zrobił co kazałem i po chwili już byliśmy w drodze, stopniowo oddalając się od głównej części obozu. Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu, ale wiedziałem, że w końcu będę musiał się odezwać... Spojrzałem na Bofrowskiego kątem oka, było mi go chyba nawet trochę żal, szedł uradowany, trzymając w ręce gnijącą włócznię, która była jego jedyną „deską” ratunku w przypadku ataku bandytów albo innego dziadostwa. Jego pociągła głupkowata twarz zdawała się być odporna na wiedzę, toteż nie przemęczałem go zbyt dużą ilością informacji na temat naszego życia w tej społeczności. Wyjaśniłem podstawy i kazałem je zapamiętać, wystarczy. Mężczyzna

spojrzał na mnie swoim ociężałym wzrokiem (czasami żałuję, że uratowałem tego debila) i zapytał:

- Jak to się stało, że wyglądasz jak wyglądasz?
- Naprawdę cię to kurwa obchodzi?
- W sumie to nie - odparł.
- Tak też myślałem, ale co mi tam - niech stracę, słuchaj uważnie pasierbico, dam ci lekcję historii.
- Pasierbico? - Zapytał ze zdziwieniem rozdziawiając gębę, z kącika której spływała strużka śliny.
- Nie ważne. Po prostu słuchaj. Mam 165 lat, ale ciągle jestem w stanie nakopać ci do dupy, więc milcz i nadstaw uważnie ucha.

Wypada zacząć od czegoś patetycznego... coś mi świta... może tak będzie dobrze:

„Oto nadchodzi dzień palący jak piec, a wszyscy pyszni i wszyscy wyrządzający krzywdę będą słomą, więc spali ich ten nadchodzący dzień, mówi Pan Zastępów, tak że nie pozostawi po nich ani korzenia, ani gałązki.,,

- Sam to wymyśliłeś? - Wyjąkał mężczyzna.
- Nie, to z księgi Malachiasza. I tak nie jesteś w stanie tego pojąć więc milcz do cholery i słuchaj!

Bofrowski przytaknął głową zwalniając tempo marszu i zerkając na mnie co chwila. Wyjąłem zza pazuchy mój stary dziennik, który zacząłem spisywać zaraz przed wojną, a krótko przed ślubem i zacząłem czytać. Idąc powoli kamienistą i niezbyt równą drogą, stapałem po stuletnim kurzu... moje słowa odbijały się od wszechogarniającej ciszy...

[...] Daleka przyszłość... nie tak bardzo podobna do tej, którą opisywano w XXI wiecznych podręcznikach. Technologia – czynnik zbawczy i determinujący szczęście? Dla jednych tak, dla innych nie. Stała się ona szponem zniszczenia, który bezlitośnie wbił się w ciało ofiary, na trwale ją okaleczając – naszą matkę, nasz dom, naszą Ziemię... W przeciągu kilku chwil jej ciałem wstrząsnęły dreszcze, zakołysała się z bólu. Jej oblicze rozświetliło się na chwilę, zawrzała z gniewu aby okryć się mrocznym całunem śmierci, który spowił ją na wiele długich lat. Widzieliśmy to – niestety, nie wszyscy byli gotowi. Gdy cień przemiął, a pierwszy nieznośny ból ustąpił, poczęła budzić się na nowo do życia jednak trucizna, która pozostała w jej ciele jeszcze długo nie pozwoli zagoić się ranom. Ten straszliwy jad zatrzał serce naszej matki na zawsze. Jak to się stało? Hm, odpowiedź wydaje się i prosta, i zarazem nie. Na przełomie XXI i XXII wieku skala wojen toczących się pomiędzy poszczególnymi państwami, mam tu na myśli lokalne konflikty jak i te o szerszym zasięgu, przybrała rozmiary podobne do tych, które znamy z kronik III Wojny

Światowej. Jak uczy nas historia, nie należy popełniać dwa razy tych samych błędów, ale zachłanność ludzi i brak wyobraźni jest porównywalnie wielki do poziomu ich głupoty, a co za tym idzie, lekcja dana rodzajowi ludzkiemu w XX wieku zdała się na nic. Zamiast szukać rozwiązania problemów gospodarczych w ugodach, porozumieniach czy wzajemnej pomocy, państwa sięgnęły po najłatwiejszy z argumentów... broń jądrową. I tak rozpętało się piekło. Konflikt rozgorzał na skalę światową, większe ośrodki miejskie zostały zrównane z powierzchnią ziemi, stając się grobowcami dla setek tysięcy dusz. Radioaktywne promieniowanie zbierało nader obfite żniwo wśród populacji gatunku ludzkiego, mniej odporne jednostki umierały straszliwą śmiercią, te bardziej odporne, jakby można w niezbyt trafny sposób określić, dalej „czerpały z życia” pełnymi garściami, ciesząc się każdym kolejnym łykiem napromieniowanego powietrza i dziękując za kolejny darowany przez los dzień. Niestety nie wszyscy ludzie mieli tyle szczęścia, niektórzy umierali od razu w wyniku zbyt dużej dawki radioaktywnego promieniowania, inni z kolei wystawieni na jego działanie ulegali mutacji, zmieniając się w obrzydliwe bestie, ani trochę nie przypominające ludzi, którymi kiedyś byli. Społecznie nieakceptowane i pogardzane schodziły na sam margines hierarchii istnienia, izolując się i tworząc skupiska mutantów, które z czasem zaczęły przekształcać się w osady. Istoty, które je zamieszkiwały nazywano Ghulami. Bano się ich i przepędzano z dala od siedzib ludzkich w obawie przed zarażeniem się, czy też może powodowała to zwyczajna niechęć do tego co obce i nieznanie... sam nie wiem. Faktem jest, że Ghule nie były zbyt urodziwe, poparzenia na skórze, wyłysiałe i zdeformowane czaszki, niegojące się rany, obrzydliwe i nienaturalnie powykręcane twarze - wszystko to składało się na typowy obraz mutantu. W miastach krążyły plotki, że są to zmarli, którzy powstali z grobów za sprawą promieniowania, które w jakiś nieznanym sposobie zwróciło im siły witalne, aby nękali pozostałych przy życiu ludzi. Ciężko powiedzieć, nikt tak naprawdę nie wiedział skąd oni się wzięli i jakie mieli zamiary w stosunku do nas, bo musisz wiedzieć, że byłem wtedy człowiekiem. Widziałem kiedyś jednego z nich, ale tamte okropne wspomnienia wolę zachować dla siebie i nie dzielić się nimi, bo pozostawiły w moim umyśle zbyt straszne i drastyczne ślady aby o nich mówić, a tym bardziej zatruwać spokojne myśli, tych, którzy na swoje szczęście nie mieli z nimi kontaktu.

- Czemu się tak na mnie patrzysz przygłupie?!

- Ty patrzy się na jakieś kartki, potrafi składać te małe znaczki w słowa i mówić nimi?
- To są litery... a to z czego czytam to mój dziennik, który kiedyś pisałem...
- Dziennik? - zdziwił się mężczyzna – Co to?
- Przed wojną byłem taki jak ty człowieku... chociaż jakby dobrze się ci się przyjrzeć obdartusie to jednak widzę, że wiele nas różniło. Potrafię czytać i umiem jeszcze szereg innych rzeczy, o których tobie, plugawy dzikusie może się tylko śnić. Zaraz po wojnie zacząłem spisywać swoje losy żeby przekazać je innym... chciałem żeby ktoś dowiedział się jak potoczyło się moje

życie. To czego teraz słuchasz to moje prywatne zapiski.

- Aha – bąknął i rozsiadł się wygodnie na kamieniu.
- No to jedziemy...

*

[...] Miejsce do, którego zawędrowałem wraz z żoną, opuszczając nasze kochane Springsteen, było dla nas zupełnie obce. Znalazłem prowizoryczną, kryjówkę, w której mogłem bezpiecznie zostawić Janete i samotnie udać się na poszukiwania czegoś bardziej odpowiedniego - nadającego się do zamieszkania na dłuższą metę. Wędrowałem przez kilka godzin po rumowiskach, przedzierając się przez nieprzebyte gąszcz stalowych prętów, gruzu i ruin, gdy natknąłem się na niego. Było to w pobliżu starego sklepu z zabawkami. Wielka szklana witryna strzaskana przez wandalę odsłoniła ponure wnętrze, widziałem zdewastowane i poprzewracane półki, podłużne pomieszczenie, którego koniec zdawał się tonąć w mroku, odsłaniało przede mną mroczną czeluść, przed którą czułem dziwny strach. Po podłodze walały się kukły obrzydliwych klaunów, których wiecznie uśmiechnięte twarze wykrzywiały się w plugawym grymasie sztucznej radości; radości, która przepełniała mnie obrzydzeniem. Wszedłem do środka, wielka drewniana lada, stojąca po prawej stronie ze śmieszna, jakby stylizowana na lata trzydzieste dwudziestego wieku, pancerną kasą, przywodziła mi na myśl stare gangsterskie filmy, a skrzypiące deski i te przeklęte kukły przyprawiły mnie o nieprzyjemny dreszcz. To miejsce budziło we mnie grozę, od zawsze nosiłem w sobie przeświadczenie żeby unikać takich zaułków, ale tym razem czułem jakąś dziwną wewnętrzną pokusę żeby tu zajrzeć... maskotki walające się po podłodze, pluszowe misie, kolorowe zwierzątka i ta cała sztuczność, która od nich biła, była naprawdę nieludzka, czuło się tutaj dziwną obcość. Panujący w pomieszczeniu półmrok skutecznie uniemożliwiał mi pełną orientację w sytuacji, muszę przyznać, że miałem gęsią skórę kiedy wchodziłem do tego budynku, aż tu nagle prawie całkowitą ciszę przerwał jakiś plugawy bulgot połączony z gardłowym krzykiem. Odskoczyłem w tył jak oparzony. Bałem się, że natknąłem się na jakiegoś żądnego krwi rabusia, który zaraz mnie wypatroszy i potem obrabuje bez żadnych skrępowań. Byłem przygotowany na to, że za chwilę nogę umrzeć, o dziwo z mroku nic się nie wyłoniło. Znowu usłyszałem ten dziwny bulgot ale i tym razem były to jedyne symptomy czyjejs obecności. Postanowiłem ponownie zajrzeć do środka, ostrożnie obszedłem starą drewnianą ladę, będąc cały czas w pełnej gotowości do ucieczki. Dopiero wtedy go dostrzegłem. Leżał bezwładnie na bruku i mamrotał coś w gorączce. Jego ciało pokryło się guzami, z których sączyła się krwawa ropa, wnętrzności przestawały działać normalnie, siejąc spustoszenie w organizmie - jak się później dowiedziałem przeszukując jego dokumenty miał na imię John. Z tego co zauważyłem to chyba jego nerki przestały funkcjonować w prawidłowy sposób: zamiast filtrować i oczyszczać krew ze

szkodliwych substancji ponownie wprowadzały toksyny do krwioobiegu, stężenie kwasu moczowego na pewno było zbyt duże w jego krwi, co jak sądzę powodowało ten obrzydliwy smród, który bił od niego. Pamiętam, że jego skóra nabierała żółtawego odcienia, po pewnym czasie zaczęły się wymioty i nieustanne bóle, na które skarżył się resztkami sił. Poparzenia popromienne również nie oszczędziły tego biedaka. Jego naskórek odchodził od mięsa odsłaniając żywą tkankę, tym samym narażając ją na infekcje. Brunatno-sine plamy, które zaczęły pojawiać się na twarzy i dłoniach nabrzmiewały mieszaniną wody i osocza, najmniejsze nawet próby zmiany pozycji, a nie daj Boże, urażenie takiego miejsca powodowały koszmarny ból, który w połączeniu z nadmierną wrażliwością pokiereszowanego ciała, przyprawiał mężczyznę niemalże o utratę zmysłów...

- Co do kurwy tak cuchnie?!

- Przepraszam... – wyjąkał zażenowany mężczyzna... i ukrył płonąca rumieńcem twarz w dłoniach.

- Dobra nieważne, ale następnym razem uprzedź mnie, to wstrzymam oddech na dziesięć minut żeby nie wdychać obrzydliwych oparów z twojego anusa!

- A--n-u-s-a? - zapytał ze zdziwieniem.

- Nie ważne... słuchaj dalej...

[...] Kiedy tak siedziałem na stercie gruzu obok umierającego Johna, zauważyłem, że jego ciało wyraźnie spuchło, a na twarzy ledwo dało się odróżnić rysy, pośród obrzydliwej czerwonej opuchlizny i tych przeklętych plam, które cały czas się powiększały, zlewając się w jedno wielkie obrzydliwe skupisko bakterii. Zsiniałe usta, z kącika których sączyła się krwawa piana błagały o pomoc, przekrwione i na wpół przymknięte oczy, które co chwila uciekały pod górne powieki, ukazując wypalone od promieniowania białka przyprawiły mnie o mdłości i odruch wymiotny, zdaje się, że ten człowiek prosił mnie o śmierć, której niestety nie mogłem mu w żaden sposób przyspieszyć... Nie pozwalało mi sumienie, a pomijając je i tak nie widziałem żadnego sensu żeby go zabijać, to była tylko kwestia czasu zanim umrze, jego stan był naprawdę opłakany, nie chciałem mieć cudzej krwi na rękach... Zanim jeszcze wyzionął ducha opowiedział mi co się stało. Otóż zaraz po katastrofie, John - tak jak wszyscy totalnie zdezorientowany całą sytuacją zapuścił się w nieznane, w poszukiwaniu źródła tych wszystkich nieszczęść, licząc na to, że jego znalezienie coś zmieni. Wędrował daleko na południe od swojej rodzinnej wioski, przechodząc obok zrujnowanego Detroit, co wydłużyło jego planowaną starannie wędrowkę na południe o ponad trzy dni, czego konsekwencją było to, że musiał uzupełnić zapasy jedzenia w pobliskim mieście, a w zasadzie w jego gruzach. W końcu udało mu się odnaleźć owe „źródło wszystkich nieszczęść”. Na płaskowyżu gdzieś w oddali za miastem dostrzegł gigantyczny lej po bombie. Prostolinijny John udał się więc w stronę krateru, z którego bił w nocy ten dziwny blask, który obserwował podczas

polowania na równinach, z bezpiecznej odległości oczywiście. Nie dotarł nawet do jego krawędzi gdy zaczął czuć się źle. Wędrował kilka godzin z powrotem aż wreszcie opuściły go siły i zemdłał, kiedy ocknął się ponownie ruszył w drogę powrotną do domu, żeby ostrzec wszystkich „jeszcze żyjących” żeby nie zbliżali się do tego miejsca. John szedł prawie do bólu, chcąc skrócić sobie czas podróży, której szczęśliwego końca z pewnością nie przewidywał, postanowił wtedy przejść przez ruiny miasta, kiedy znów opuściły go siły i ponownie zemdłał. - To właśnie tutaj znalazłem go, na wpół przytomnego leżącego bezwładnie w swoich odchodach, w pobliżu śródmieścia, czego później dowiedziałem się ze znalezionej jeszcze w Springsteen mapy. Mężczyzna spadał w mroczną otchłań studni zapomnienia, wiedziałem, że nie zostało mu już wiele czasu zanim runie na jej dno... Niestety w żaden sposób nie mogłem mu pomóc i wkrótce wyzionął ducha – może to i lepiej – pomyślałem. Gatunek ludzki jak żaden inny zamieszkujący tę planetę uodpornił się na zmiany dokonujące się na świecie i dzięki możliwości szybkiej adaptacji do zmieniających się warunków potrafi przetrwać nawet najgorsze. Dlatego choroba popromienna i jej śmiertelne efekty pomimo rozległości oddziaływania nie były w stanie dosięgnąć i zgładzić wszystkich, jednak tego czego nie dokonało promieniowanie już wkrótce miało stać się domeną innego zabójcy - głodu.

Miałem wtedy 24 lata, ale trauma, którą przeżyłem oglądając ostatnie chwile życia Johna na zawsze odcisnęła na mnie swoje piętno. Każdemu przyjdzie kiedyś zobaczyć śmierć drugiego człowieka, ale sposób w jaki, owo plugawe i pozbawione humanitaryzmu, ale zarazem tak bliskie naturze ludzkiej zdarzenie stanie się udziałem świadomości człowieka, świadomości każdego z nas, jest niezależne od tego czy chcemy być jego świadkami czy też nie. Jedno jest pewne – *wszyscy dobrzy ludzie kiedyś umrą* i jest to niestety fakt zupełnie prawdziwy i przerażająco niezależny od ludzkiej woli. Myślałem wówczas, że taki los jest błogosławieństwem, a śmierć w przeciągu zaledwie kilku dni, a jeśli komuś się poszczęści w przeciągu zaledwie „chwil” jest właśnie tym, na co moja udręczona dusza w pełni zasługuje - jak mi się zdawało. Nikt nie powinien przeżywać koszmaru, którego ja pełnią swoich zmysłów doświadczać muszę każdego dnia, bo nie takie doznania są nam pisane. Eh jak bardzo chciałem żeby promieniowanie zabrało mnie ze sobą, sami zrozumiecie – życie w prawie całkowicie wymarłym świecie, bardziej przypominające błądzenie w mroku po omacku pośród nieprzebytych czeluści samego piekła, aniżeli życie takie jakie znałem do tej pory, teraz zupełnie niepodobne, w ani jednym calu, do tego czym było ono wcześniej. Dla mnie wydawało się piekłem; piekłem, które za mojego życia nastąpiło na ziemi i na trwałe stało się jego udziałem. Niestety ale podstawy każdego świata kiedyś runą... pech chciał, że moja osobista tragedia stała się udziałem setek tysięcy, a może nawet milionów, tragedii innych ludzi. Chciałem żeby fala uderzeniowa zabójczego żaru i światła dosięgnęła też mnie i połączyła moją duszę z duszami już nieżyjących, mówiąc wprost chciałem być martwy. Wiedziałem, że niczym niepoohamowana siła głowicy nuklearnej jest w stanie to zrobić, ale z drugiej strony bałem się

zostawić moją żonę samą, bezradną wobec toczącego się koszmaru, nawet nie chcę wyobrazić sobie tego, na jakie niebezpieczeństwa byłaby wówczas narażona. Janete jest twarda jak żadna kobieta... ale przecież była w ciąży i pomimo całej zaradności, która ją cechowała, nie przetrwałaby sama na tym wymarłym pustkowiu... byłem jej wtedy bardzo potrzebny... w końcu nosiła w swoim łonie nasze dziecko... to był mój obowiązek, a nawet coś więcej, kochałem ją i byłem jej winien tak troskliwą opiekę, na jaką tylko było mnie stać. Terror, który stał się na trwałe częścią mojego nędznego istnienia, a wiem na pewno, że przez fakt naszej wspólnej egzystencji, również i jej, nie pozwalał mi myśleć w sposób pozytywny i racjonalny o tym co przyniesie nam przyszłość – o ile przyniesie cokolwiek innego niż rozkład i śmierć - w co bardzo wątpiłem. Minęło zaledwie trzydzieści sześć miesięcy odkąd wzięliśmy ślub, naprawdę ją Kocham...

- Ty płaczesz ghulu? - zapytał.
- Wydaje ci się, skup się na tym co czytam...

[...] Nawet po tych wszystkich latach dokładnie pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Byłem wtedy zwyczajnym studentem politechniki, jak każdy młodzieniec lubiłem czasem się rozerwać w pubie ze znajomymi, wypić kilka głębszych, pograć w bilard czy też zwyczajnie przejść się wieczorem po mieście i podziwiać uroki wielkomiejskiego życia. Detroit - bo tutaj właśnie studiowałem, było miejscem, w którym naprawdę chciało się żyć! Miało tyle do zaoferowania dla głodnego nowośći chłopaka z prowincji, te wszystkie atrakcje, wysoko rozwinięty przemysł, tak szczerze mówiąc było ono kolebką nowoczesnych technologii. Jak zapewne wiecie to tutaj po raz pierwszy na większą skalę zastosowano wideofon, nową technologię zapisu plików na przenośnych mini dyskach no i co najważniejsze – naukowcy odkryli proces chemiczny dzięki, któremu dało się tak zmodyfikować silnik samochodu, że mógł być on napędzany dwutlenkiem węgla. Teraz wystarczyło tylko wtłoczyć powietrze z atmosfery, do komory spalania i już. Ale takie zabawki to tylko dla zamożnej klasy średniej, biedni studenci, do grona których wtedy się zaliczałem nie mogli sobie pozwolić na takie cudeńka... Była sobota, dosyć chłodny jesienny poranek, wracałem skacowany z imprezy od Spanky'ego - to były czasy! Pamiętam, że poszedłem na przystanek autobusowy przy alei Duntona sprawdzić, o której podjedzie transporter, ale literki jakoś tak dziwnie rozmywały się i nie byłem w stanie nic wyczytać. Wpadłem wtedy na genialny plan żeby zwinąć rower, który ktoś zostawił nieopatrznie koło przystanku i pojechać na nim do domu - swoją drogą to zadziwiające, że minęły wieki od wynalezienia tego urządzenia, a wciąż spotyka się je na ulicach... Bez zastanowienia wsiadłem na niego i nieco zataczając się ruszyłem w stronę starego miasta - jak mi się przynajmniej zdawało. Po przejechaniu kilku metrów usłyszałem gdzieś w oddali za sobą wycie syreny wozu policyjnego. Nie oglądając się zacząłem pedałować szybciej i postanowiłem skręcić w jedną z wąskich uliczek, tuż za budką z fast foodami, obok gmachu sądu,

która odbiegała od głównej ulicy w prawo. Zamroczenie alkoholem nie pozwalało mi myśleć racjonalnie toteż zupełnie zapomniałem, że ten wąski przesmyk jest oblegany przez stare kobiety, które stoją tam z garścią bobu w celofanowych woreczkach i próbują go sprzedać za 2 dolary żeby mieć na bilet powrotny do domu, na wieś. Kiedy sobie to uświadomiłem było już za późno, poczułem tylko uderzenie w jakąś ciepłą bliżej niezidentyfikowaną masę z bobem w rękach, która tylko cicho jęknęła i osunęła się na kolana. Natomiast ja zakończyłem swoją spektakularną ucieczkę niezbyt efektownym lądowaniem w czyimś samochodzie przez przednią szybę, od śmierci uratował mnie wojskowy kask, który podarował mi Spanky tuż przed wyjściem - zdaje się, że po raz kolejny miał to swoje specyficzne przecucie. W oddali słyszałem tę przeklętą syrenę, co najwyżej mogłem próbować wpełznąć na tylne siedzenie i liczyć na łut szczęścia, że nikt mnie nie zauważy. Leżałem tak na wpół przytomny z nogami zwisającymi na masce i już powoli pełzłem do środka, gdy poczułem silny uścisk ręki na nodze i bardzo mocne klucie czymś ostrym w okolicach nerki. Zapałem się rękami i próbowałem stawiać opór, ale zanim zrozumiałem co się dzieje, jakaś brutalna siła z niewiarygodną agresją wyciągnęła mnie z samochodu. Moje ciało zsunęło się po masce i leżąc na bruku otepiałym wzrokiem próbowałem ogarnąć to, co się właśnie wydarzyło. Dookoła mnie stało kilka niewyraźnych kształtów, z których jeden zbliżył się na wyciągnięcie ręki i zaczął mnie bić po kasku czymś bardzo ciężkim, nie trwało długo zanim kamratki owej postaci przyłączyły się do dzieła zniszczenia, okładając mnie bez litości siatkami z bobem i parasolkami. Wtedy znowu usłyszałem syrenę, nie wiedziałem co gorsze, ale wolałem zostać aresztowanym niż zginąć pod gradem bobu i innych warzyw albo zwyczajnie zostać zatłuczonym lub zakłutym parasolkami, jak bezbronne zwierze przez żadnych krwi myśliwych na polowaniu. Kiedy kobiety zorientowały się, że przyjechała policja natychmiast rozbiegły się w różne strony, pozostawiając mnie na wpół żywego obok wraku samochodu. Zza rogu wyłoniła się postać policjanta, a szczerze mówiąc jak się później miało okazać policjantki. Próbowałem wstać ale moje żebra były zbyt stłuczone, musiałem cierpliwie czekać, pomimo ochrony na głowie moja twarz również ucierpiała, kawałki szyby rozcięły mi łuk brwiowy, tak że krew sączyła się niemal nieprzerwanym strumieniem zalewając mi całą facjatę i uniemożliwiając tym samym trafną orientację w sytuacji. Poczulem, że ktoś kępuje mi z tyłu dłonie kajdankami i podźwiga mnie z bruku. Kiedy stałem już na nogach, postać otarła mi twarz chusteczką, kiedy ją zobaczyłem – oniemiałem. Kobieta, która stała przede mną wydawała mi się najpiękniejszą istotą jaką kiedykolwiek widziałem! Jej duże piwne oczy patrzyły na mnie ze zdziwieniem i rozbawieniem jednocześnie, na czoło opadał kosmyk przepięknych hebanowych włosów, który w sposób wręcz nie do opisanego, nadawał uroku jej anielskiej twarzyczce. Byłem totalnie zauroczony.

- Mam na imię Funky – wykrztusiłem z siebie, nie mogąc oderwać od niej wzroku, słowa uwięzły mi w gardle, a całą śmiałość i charakterystyczną dla mnie pewność siebie szlag trafił, czułem się

bezbronny jak dziecko, urok tej istoty onieśmiał mnie w paralizujący wręcz sposób. Ostatni raz czułem się tak wtedy, gdy znalazłem erotyczną książkę w szafie rodziców pod ręcznikami i zostałem przyłapany przez ojca...

- To był wypadek – wyjąkałem - ja nie...
- Opowiesz wszystko na komisariacie – powiedziała.

Wiedziałem, że picie u Spanky'ego źle się skończy... ale takiego zakończenia nie mogłem przewidzieć.

Policjantka bez słowa popchnęła mnie w kierunku radiowozu. Koniec końców wylądowałem na komisariacie, hm z tego co pamiętam to chyba nawet zwymiotowałem na siedzenie w trakcie podróży... sami rozumiecie - te zawroty głowy i ogólna dezorientacja wywołana szokiem pourazowym, nie wspominając już o efekcie upojenia alkoholowego, które wciąż dawało o sobie wyraźnie znać... Pamiętam, że poprosiłem ją o numer telefonu wiem, że to dziwne ale już po chwili namysłu dała mi go i uśmiechnęła się nieznacznie, uznałem to za niebywały tryumf i z radości, aczkolwiek totalnie bezmyślnie klepnałem ją w pupę, nieco zdezorientowana i zaskoczona dała mi „dosyć dosadnie” znać żebym więcej tego nie robił, bo w przeciwnym wypadku pomimo całej sympatii, którą jak mi się zdawało darzyła mnie, będzie musiała zareagować nieco ostrzej, a w tedy zapewne pożałuję owej chwili radosnego uniesienia. Po załatwieniu nieszczęśliwej sprawy z „wypadkiem samochodowym” i wszystkimi związanymi z tym przykrym zdarzeniem formalnościami, między innymi kradzieżą i złamaniem kilku podstawowych przepisów ruchu drogowego, do których zaliczyć można między innymi prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu, nie wspominając już o jeździe pod prąd – czyli tym całym biurokratycznym bałaganie, który musiałem skrzętnie uporządkować podając policyjnemu skrybie, co, gdzie, jak i dlaczego. Próbowałem wynegocjować warunkowe zwolnienie z obserwacji - niestety bezskutecznie. Swoją niezwykłą opowieść zacząć musiałem od owego nieszczęsnego roweru, za który przyszło mi słono zapłacić właścicielowi, a w zasadzie moim biednym rodzicom, których już i tak dosyć często narażałem na nieprzewidziane wydatki swoją bezmyślnością i totalnym brakiem wyobraźni w kwestii materialnych aspektów życia. Niestety po raz kolejny musiałem do nich zadzwonić i poprosić o szybki przesył gotówki żeby zapłacić „poszkodowanemu” właścicielowi roweru, aby ten nie wniósł sprawy do sądu. Kiedy wszystkich formalności stało się za dość, udałem się do swojej siedziby - musiałem przemyśleć kilka niecierpiących zwłoki kwestii. Kilka dni później zebrałem się w sobie i postanowiłem zadzwonić do pięknej pani porucznik, która (dzięki niebiosom, że ją poznałem!), przyczyniła się do takiego, a nie innego rozwoju sytuacji. Któregoś pięknego wieczoru umówiliśmy się w jednej z restauracji na rynku i tak to się zaczęło. Nie upłynęło wiele czasu i już byliśmy mężem i żoną, a w zasadzie żoną i mężem bo to ona dominowała i dominuje w naszym związku.

To było tak dawno... - aż łezka się w oku kręci na samo wspomnienie tych beztroskich chwil, ale wróćmy do brutalnej rzeczywistości. Musiałem szybko wracać do Janete, na pewno już się o mnie martwiła, nie wiem ile czasu straciłem stojąc tutaj nad zwłokami Johna i rozmyślając o tym co było. Powoli zaczyna zapadać zmrok, a ja muszę się streszczać... Szarzące niebo zmieniło zupełnie widok ruin, cienie wydłużyły się, nadając im swego rodzaju demonicznego wyglądu, który w duszy człowieka wzbudza negatywne uczucia pustki i zapomnienia. Powoli ruszyłem naprzód, oglądając „powojenny” krajobraz rozpościerający się wszędzie dookoła mnie, poczułem wyrzuty sumienia i odwróciłem głowę w stronę zwłok Johna, wydawało mi się w tym momencie, że się poruszył, ale to przecież niemożliwe, bo widziałem jak dławił się własnymi wymiocinami, czułem, że to co się wokół mnie dzieje jest złe. Każdy kamień, który mijałem, z trudem próbując postawić stopę o krok dalej, wróżył mi niechybną śmierć, a kurz i pył, który wzbudzały moje stopy unosił się nienawistnie w powietrzu, niesiony przez lodowaty powiew morowego wiatru, umykającego gdzieś w zaułki mrocznych szczelin zrujnowanych budowli. Słyszałem jak jego gwizd szepce złowrogie i nienawistne wersety, owiewając moją twarz całym plugastwem tego świata i napelniając usta niesioną przez siebie pogardą - miałem wrażenie, że jego siła, która zwiększała się z każdą chwilą hamuje mnie i próbuje zatrzymać tutaj przy zwłokach Johna, tak jakby jego duch domagał się żebym to ja pogrzebał zmalretowane ciało. Nie mogłem pozwolić sobie na to, musiałem szybko wracać do Janete. Wytężając wszystkie siły ruszyłem w drogę powrotną od czasu do czasu chowając się za jakąś zawaloną ścianą, osłaniając się przed lodowatymi szponami wiatru... w powietrzu czuć było wyraźnie nadchodzącą zimę, ale nie taką zwyczajną - było w tym wszystkim coś niepokojącego, co nie pozwalało człowiekowi zachować pogodnych myśli. Gdyby tak dalej szło najpewniej załamałbym się i nocując gdzieś w ruinach zamarzyłbym na śmierć, albo rozszarpałyby mnie zdziczałe psy, których pełno było w okolicy. Z pomocą przychodziły mi wspomnienia z dzieciństwa, rodzice, a w końcu wspomnienia mojej ukochanej i naszego dziecka, które już niedługo miało przyjść na świat... Wiem, że tamte dobre czasy już dawno minęły i jestem tego świadomy, że już nigdy nie wrócą. Wtedy liczyło się tylko to jak przetrwać, uczucia i pobożne rozważania trzeba zostawić na inne, bardziej spokojne czasy, teraz priorytety są zupełnie inne i to właśnie na nich trzeba się najpierw skupić. Kocham moją Myszkę. Jej życie jest mi droższe niż moje własne, dlatego powziąłem decyzję, że muszę zrobić wszystko żeby ją ocalić. Świat, w którym przyszło nam żyć nie pozostawił nam wyboru, trzeba było walczyć i taką też decyzję powziąłem. Wszystko się zmieniło i wiedziałem, że nie będzie nam łatwo – o ile przetrwamy, jak wtedy mawiałem. To co nas spotkało można by trafnie określić końcem wszechrzeczy, końcem wszystkiego, końcem ludzkości, końcem świata. Uczucia, które gościły wtedy w mojej duszy nie dawały się zgoła ubrać w proste słowa, potrzeba czegoś więcej żeby opisać tą niewyobrażalną pustkę, która wręcz paradoksalnie przepełniona jest zwątpieniem i żalem, który rozsadza człowieka

od wewnątrz, dla tych, którzy byli sprawcami i promotorami nowego pseudo-ładu na świecie, wiem, że te uczucia nie miały zbyt wielkiego znaczenia, ale jestem pewien, że gorycz i smutek, które stały się nazbyt powszechne i dominujące po katastrofie i tak wyryły piętno w mętnych otchłaniach ich psychiki na dobre – o ile przetrwali cały ten koszmar oczywiście. Niektórzy nazywali to apokalipsą, ale w moich oczach była to po prostu reakcja łańcuchowa zapoczątkowaną przez ludzką bezmyślność i chęć dominacji nad drugim człowiekiem. Abstrahując od poetyckich opisów i wszechobecnego patosu powiem wprost: Ziemia została prawie całkowicie zniszczona, a przynajmniej ta jej część, która jest mi znana, nie ma gdzie szukać ratunku, nie ma do kogo zwrócić się o pomoc. Dawne żyzne tereny zastąpiła jałowa spopielona gleba, na której z trudem wyrastają chwasty. Lasy zniknęły prawie całkowicie z powierzchni ziemi, pochłonięte przez radioaktywne pyły, które skutecznie zahamowały naturalne procesy życiowe drzew. Zagłada dosięgła wszystkich nie mówiąc już o biednych futrzakach, które po prostu padły z głodu... Łańcuch pokarmowy został nieodwracalnie przerwany, tak... człowiek zjadał człowieka, widziałem wiele razy jak głodni ludzie rozrywają kogoś na strzępy z dziwną wściekłością w oczach, bez chwili wahania pożywiając się jego jeszcze ciepłym mięsem. Patrząc z perspektywy minionych lat mogę powiedzieć, że to było ohydne, ale co mieliśmy robić? Znikąd szukać czegoś do zjedzenia, kanibalizm był jedynym ratunkiem, z resztą chyba sami rozumiecie, że ludzkie mięso jest bardziej odżywcze niż żużel. Kurwa... chce mi się rzygać, samo wspomnienie tego koszmaru przyprawia mnie o zimny dreszcz przesywający ciało na wskroś... Świat zmienił się nie do poznania, ale nic na to nie mogę poradzić... Wszelka normalizacja życia przestała istnieć w jednej chwili, nie można było mówić o jakichkolwiek pozorach państwowości, struktur organizacyjnych, czy czymkolwiek takim.

Ci, którzy ocalili byli pozostawieni samym sobie. Większość, która przetrwała jakimś cudem pierwsze kilka tygodni, zaczęła uciekać ze zrujnowanych miast w poszukiwaniu nowego domu. Odnajdując jako taki spokój poza granicami betonowych grobowców. Ludzie zakładali prymitywne osiedla skupiając się w niewielkie grupki mające zapewnić względne bezpieczeństwo przed nieznanym, na dotąd nie zamieszkałych i dzikich terenach. Łudzili się, że dzicz pozwoli im przetrwać nuklearny holokaust, ale niestety prawda jest taka, że spopielona ziemia jeszcze przez wiele lat nie wyda z siebie owoców zdolnych zaspokoić ludzki głód, o ile zrobi to kiedykolwiek. Ci, którzy odważyli się na ten ryzykowny krok pomierali w większości z głodu lub pozabijali się nawzajem aby pożywić się mięsem kompanów, tak przynajmniej opowiadali wędrowcy, których spotykałem na swej drodze. Wiedziałem, że to bardzo ryzykowne, przemieszczać się z miejsca, które bardzo dobrze się znało w zupełnie inne i dzikie, gdzie szanse przetrwania zmniejszają się gwałtownie, ale musieliśmy spróbować bo w naszym małym Springsteen, nie było już niczego do jedzenia, a daleki byłem od tego, żeby zjeść innego człowieka... nie mówiąc już o mojej kochanej

Janete, która była w ciąży i potrzebowała odpowiednich warunków żeby ją donosić. Musieliśmy zaryzykować wędrówkę.

*

Za swój cel obraliśmy pobliskie Detroit, które jak nam się zdawało oferowało szerszą perspektywę pod względem znalezienia czegoś nadającego się do jedzenia. Postanowiliśmy zabrać co tylko się da i uciekać w nieznane. Pamiętam dokładnie tamte chwile, przepełniała mnie straszliwa dezorientacja, jednak z czasem początkowe przerażenie zaczęło powoli ustępować miejsca poczuciu beznadziejności. Szczęśliwie dotarliśmy na miejsce bezpiecznie, nie licząc tego, że Janete zemdląca po drodze, ale kiedy ją ocuciłem resztką wody, którą miałem schowaną na czarnej godzinę, otworzyła swoje przepiękne piwne oczy i spojrzała na mnie tak jak wtedy, kiedy się poznaliśmy. Przytuliłem ją i pomogłem wstać, czekał nas wtedy jeszcze spory kawałek drogi do przebycia, ale później nie napotkały nas inne przykre niespodzianki. Po dotarciu na miejsce i sprawdzeniu naszej lokalizacji wybraliśmy starą dzielnicę mieszkalną jako miejsce, w którym można by spróbować żyć od nowa, nasz wybór padł na mały domek zbudowany z czerwonych cegieł, z niewielkimi oknami, zamkniętymi szczelnie przez drewniane okiennice, wzmocnione mosiężnymi zaczepami, które jakimś cudem nie ucierpiały za bardzo na skutek korozji. Nasze nowe, trzy pokojowe, podpiwniczone lokum zdawało się w miarę bezpieczne, w okolicy nie widywałem zbyt wielu ludzi, toteż byłem w miarę spokojny o nasze życia, a nawet gdyby komuś przyszło do głowy zrobić coś Janete albo dziecku to byłem gotowy zabić... Przeszukałem kilka pobliskich domów i wyniosłem z nich wszystko co się dało – zimową odzież, garnki, ciepłe kołdry, kilka dużych paczek zapalek, drewno na opał, zgromadzone w piwnicy sąsiada, a nawet udało mi się znaleźć linę, która najwyraźniej służyła do wspinaczki, zdaje się, że jej poprzedni właściciel uciekając w popłochu zwyczajnie o niej zapomniał.

Pewnego wieczoru przeszukując ruiny starego magazynu natknąłem się na przedziwną scenę. Wielkie pomieszczenie, którego strop podtrzymywały olbrzymie słupy, opatrzone w liczne stalowe wsporniki zdawało się nie mieć końca, zupełnie jakby było ono zawieszane w próżni. Niezliczone rzędy, niemalże niezniszczalnych olbrzymich kolumn pomiędzy, którymi stały kontenery pełne niezbadanych substancji, sprawiały, że człowiek czuł się mały i nic nieznaczący. Wspiąłem się po drabince jednego z nich, aby móc ogarnąć wzrokiem cały magazyn, dostrzegłem wtedy jakąś wysoką rudowłosą postać, ubraną w długi czarny skórzany płaszcz, która najwyraźniej miała zamiar się zabić - Mężczyzna chciał się powiesić przy pomocy długiej plecionej liny, której koniec próbował zahaczyć na jednym ze stalowych wsporników łączących kolumny. Kiedy go dostrzegłem znieruchomiałem ze zdziwienia, jeszcze nigdy nie widziałem jak ktoś odbiera sobie życie! Mężczyzna zręcznym ruchem przerzucił grubą liną przez wspornik i przekładając jej koniec przez plecione „ucho” zacisnął mocno. Zdaje się, że mnie nie dostrzegł, był zbyt skupiony na tym,

co za chwilę miało się stać. Widziałem jak przełożył pętlę przez swoją szczupłą szyję odrzucając do tyłu długie rude falujące włosy. Zdaje się, że po jego trupio bladych policzkach ciekły łzy, rzadko zdarza się oglądać płaczącego faceta, a już na pewno nie często w takich dziwnych okolicznościach. Podobnie jak ja stał na jednym z kontenerów, toteż skacząc z niego w dół na pewno skutecznie skończyłby z sobą. Nie wytrzymałem i krzyknąłem w jego kierunku. Mężczyzna podniósł obojętnie głowę w moją stronę i wymamrotał po cichu:

Stary świat przestał istnieć, a nowy jeszcze się nie narodził... Gdzie ja teraz jestem? - Ku mojemu przerażeniu - skoczył. Czułem jak fala gorąca zalewa mi twarz, a uszy zatyka narastające ciśnienie. Zerwałem się z miejsca i jak oszalały biegłem co tchu w płucach w jego kierunku. Rudowłosy przybysz szamotał się wisząc na linie, która z przeraźliwą siłą zaciskała się wokół jego gardła, powodując niemożliwy do zniesienia ból, który uwidaczniał się w postaci grymasu na twarzy. Podbiegłem do niego i łapiąc jego nogi uniosłem je w górę, tak żeby lina go nie udusiła. Mężczyzna szamotał się i próbował wyrwać z mojego uścisku. Przez głowę przemknęła mi myśl...

- Ile w człowieku musi być goryczy i rozpaczony żeby posunął się do czegoś takiego... Czułem, że ogarnia mnie przedziwny, koszmarny sen - obrazy przed moimi oczami zaczęły przesuwać się powoli, zupełnie jak w starym kinie, klatka po klatce ukazując zdeformowaną rzeczywistość. Czas zdawał się zwolnić. Miałem wrażenie, że wokół jest tylko czarna pustka i ten biedny krety, który właśnie umierał na moich barkach. Stanąłem na palcach żeby dać mu większe szanse na uwolnienie się, ale on nie próbował sobie pomóc.... Odchyliłem głowę do tyłu i wtedy zobaczyłem go wyraźnie. Długie rude kręcone włosy, unoszone jakby przedziwną tajemną mocą rozchodziły się we wszystkie strony od trupio bladej twarzy mężczyzny, zielone złowieszcze źrenice spoglądały na mnie z dziwną agresją i zawziętością. Ich przenikliwość była po prostu nieludzka, miałem wrażenie, że lustruje moją duszę na wylot, jego wzrok był przerażający, pigment tych przedziwnych gałek ocznych był bardo nieprzeciętny i wzbudzający niepokój; napotykać jego spojrzenie skuliłem się w sobie, w obawie przed tym co może mi się stać pod ciężarem, tego miażdżącego spojrzenia. Wąskie sine usta recytowały coś powoli, słyszałem jak wydobywał się z nich przerażający grobowy głos, który dosłownie wbijał się przez uszy do głowy... - Kim on był? - Albo raczej czym, do cholery?! Postać rozkładała szeroko ręce jakby w geście błogosławieństwa, zupełnie nie przejmując się sznurem, który wciąż zaciskał się na gardle... Mijały bezpowrotnie chwile i nic się nie działo. Kiedy wydawało mi się, że już jest po wszystkim i już miałem usunąć się spod ciała nagle drgnęło. Nie wiem jak to się stało, ale jakimś cudem pętla po prostu ześliznęła się z jego szyi i na w pół przytomna postać osunęła się na ziemię. Nie wiedząc co się dzieje, powoli odzyskiwałem nad sobą kontrolę, starając się dojść do siebie, po tym co właśnie się stało. Przeanalizowałem jeszcze raz fakty i doszedłem do wniosku, że to co przed chwilą widziałem było tylko jakąś majaką, zmęczonego i wyczerpanego umysłu. Faktem jest, że u moich stóp leżała jakaś nieprzytomna

postać, z czerwono-siną pręgą na szyi i tylko to wtedy było dla mnie ważne. Pochyliłem się żeby sprawdzić czy jeszcze oddycha i właśnie wtedy otworzył, te swoje dziwne niepokojące oczy - Ja już dłużej nie mogłem – wykrztusił z siebie z trudem. Nie wiedząc jaka będzie jego reakcja wyciągnąłem rękę, pomogłem wstać i zaoferowałem pomoc. Mężczyzna zgodził się i trzymając się za obolałą szyję, jedną ręką oparł się o mnie i razem ruszyliśmy w kierunku wyjścia. Po drodze opowiedział mi smutną historię swojego życia, było mi go naprawdę żal... - Przebudziłem się z zabójczego letargu i po raz kolejny zachłysnąłem się powietrzem... - powiedział. Jego słowa były dla mnie dziwne i niezrozumiałe, ale on tylko zwiesił głowę, westchnął cicho, a jego długie włosy ponownie zakryły wyczerpaną twarz - Jestem żywy bez życia... jestem martwy nie mogąc umrzeć... Co to za przekłete bagno, które wciąga mnie na samo dno piekła?... - Na chwilę przystanąłem zupełnie nie ogarniając tego co do mnie mówił, odchrząknąłem tylko i ruszyliśmy dalej. Mike - bo tak miał na imię, niepodnosząc głowy szedł przez dalszą część drogi w milczeniu.

Mężczyzna miał w sobie coś dziwnego, coś co działało na ludzi jak magnes, kiedy tylko przyprowadziłem go do domu, Janete zaopiekowała się nim bardzo troskliwie, dała mu jeść, pozwoliła ogrzać się przy kominku, a nawet kazała mi przytargać wodę ze studni żeby mógł się wykapać... Zgodziłem się - chociaż niechętnie. Jedyne co mnie wówczas zaskoczyło to, że nie zadawała żadnych pytań, tylko odruchowo, zupełnie machinalnie udzieliła mu pomocy. Muszę przyznać, że początkowo odnosiłem się do niego sceptycznie, ale z czasem nabrałem zaufania. Wspólnie wybywaliśmy na długie wędrówki w poszukiwaniu jedzenia, czasem, kiedy przynosił więcej niż ja, byłem zwyczajnie zły, a może i nawet zazdrosny. Janete przywiązała się do niego, czasami miałem wrażenie, że aż za bardzo, denerwowało mnie to, ale wiedziałem, że ona jest bardzo otwarta i nie miałem jej tego za złe. Mike przyzwyczał się do nas, z czasem otworzył się i starał się jak mógł pomagać nam w utrzymaniu schronienia. Pewnego jesiennego poranka po prostu zniknął i nie wrócił. Kilka dni wcześniej zauważyłem, że działo się z nim coś nie tak, zamknął się w sobie i prawie wcale się do mnie nie odzywał, zwyczajnie zignorowałem to, w końcu każdy ma prawo do humorów, teraz wiem, że to był błąd... Szukałem go przez wiele dni... niestety ślad po nim zupełnie zaginął. Janete bardzo to przeżyła, nie będę ukrywał, że ja też. Bardzo się zżyliśmy ostatnimi czasy, był dla mnie prawie jak brat. Ta tajemnicza, nosząca się na czarno postać miała w sobie „coś”; coś co przyciągało, nie wiem czy można to nazwać charyzmą, interesującą osobowością czy czymś podobnym, ale trzeba przyznać, że Mike działał na ludzi jak magnes. Przez kolejny miesiąc było nam bez niego bardzo ciężko, ale jak wiadomo czas goi rany i wkrótce zapomnieliśmy o nim zupełnie, z czasem jego magnetyczne właściwości przestały na nas działać...

Spędziliśmy tak żyjąc w „beztrosce” kilka „cudownych” tygodni, Janete urodziła, a nasza prześliczna córeczka, już od ponad miesiąca spoglądała na nas, swoich rodziców, tymi wielkimi ciekawskimi oczkami. Na początku po jej narodzinach było nam trudno, Michele budziła się

w nocy i uporczywie domagała się jedzenia, wywijając w powietrzu uroczymi małymi stópkami i drąc się wniebogłosy tak, że człowieka aż ciarki przechodziły, stawiała nas od razu na równe nogi... Czasami bałem się, że jej nocne płacze mogą ściągnąć do nas jakichś nieproszonych ciekawskich, ale wtedy jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, strzegłem naszego domowego ogniska pogrążony w wartowniczym, niespokojnym śnie... Tak się cieszę, że Michele urodziła się zdrowa, to dla mnie największa radość. Do końca życia nie zapomnę tych chwil, gdy razem z Janete opiekowaliśmy się nią tak troskliwie, a ona jakby w podzięcie przytulała się i chwyciła kurczowo swoimi małymi rączkami ubranie, czy cokolwiek miała pod ręką, nie szczędząc mi ciągnięcia za już trochę przydługie włosy czy brodę - naprawdę kochane maleństwo. Janete była bardzo dobrą matką, wiem, że starała się jak tylko mogła żeby zapewnić dla rozwoju dziecka wszystko co najlepsze, nasza córeczka związała nas z sobą jeszcze bardziej, oddałbym za nie wszystko. Niestety życie w ruinach Detroit stawało się coraz bardziej niebezpieczne i coraz mocniej zdawałem sobie sprawę, że jest ono pozbawione jakichkolwiek perspektyw.

*

Nasza okolica wydawała się w miarę bezpieczna, ale zapuszczając się coraz dalej w kierunku centrum nabierałem wątpliwości co do naszego wyboru. Kiedy tak wędrowałem pośród ton gruzu, wraków samochodów, powykrzywianych latarni, które prawdopodobnie już nigdy nie rozblyszną jasnym, żarzącym się światłem, rozświetlając mrok nadchodzącej nocy, mrok, który niepodzielnie panował w moim sercu, przerywany jedynie pogodnymi myślami o moich kobietach, znalazłem coś dziwnego. Idąc tak opustoszałą drogą natrafiłem na dziwny budynek, który ucierpiał dosyć mocno w wyniku fali uderzeniowej. Moją uwagę przykuło jego dziwne rumowisko, olbrzymie drzwi, których jedna część wisiała oderwana, poniewierając się na bruku - po boku leżała roztrzaskana, jak mi się zdawało wieża, albo coś co ją łudząco przypominało. W miarę jak się zbliżałem zaczynałem zdawać sobie sprawę co to za budowla. Kiedy minąłem portal wejściowy moim oczom ukazał się przedziwny obraz - po środku olbrzymiego pomieszczenia stało coś, co znałem z dzieciństwa bardzo dobrze, coś co przywoływało odległe wspomnienia. Podłużne pomieszczenie wypełnione filarami u zwieńczenia, których na „półeczkach” siedziały baśniowe postacie, przystrojone w pozłacane szaty, patrzące się gdzieś w próżnię swoimi niewidzącymi oczyma... W otaczającej mnie przestrzeni panował mrok, spojrzałem w górę i z trudnością dostrzegłem freski na łukowatym sklepieniu stropu, były to przykurzone i na wpół zatarte malowidła przedstawiające antyczne dzieje „człowieka”. Niestety, ciemność która już zapadła na zewnątrz, uniemożliwiała mi dokładne oględziny pomieszczenia. Na jednej z bocznych ścian udało mi się dostrzec jedyne, jak mi się zdawało ocalałe okno. Pomimo całego koszmaru, który roztaczał się zewsząd dookoła, wciąż promieniowało tym samym, nieprzyćmionym blaskiem, jak wtedy gdy było podziwiane przez liczne oczy patrzących. Ozdobione w przepiękne kolorowe witraże,

przedstawiające absolutne mistrzostwo w swoim gatunku, które kontrastowały z jedynym kolorem panującym niepodzielnie w tym budynku. Centralną część pomieszczenia zajmowała szeroka ścieżka rozpościerająca się pomiędzy rzędami pomalowanych na brązowo ławek, a prowadząca na drugi koniec pomieszczenia poprzez mroczną aleję, spowijających wszystko cieni. Na podwyższeniu znajdującym się na końcu owej „drogi” stał posąg ukrzyżowanego zapomnianego człowieka, na którego twarzy malowało się cierpienie i troska. Jego oblicze wykute w czarnej połyskliwej skale emanowało jakąś dziwną mocą, umęczone, ale zarazem władcze spojrzenie, w którego zasięgu znajdowałem się - przyzywało. Mroczna pustka, która dzieliła mnie od posągu zdawała się tworzyć swego rodzaju nieprzekraczalną barierę, z którą żadną miarą nie mogłem się zmierzyć. Otuchy dodawało mi blade światło księżyca, które sączyło się do pomieszczenia wąskim strumieniem przez na wpół zawałone wejście, znajdujące się tuż za moimi plecami, niestety światło tylko w niewielkim stopniu rozpraszało wszechogarniający mrok - czułem nieprzeparty lęk, który jednak starałem się przezwyciężyć. Wszędzie dookoła mnie panowała ciemność, jedyne co udało mi się dostrzec w oddali to ta figura, która w dość niejasny sposób połyskiwała na tle przerażającej czeluści owej nieprzeniknionej mrocznej otchłani, wciąż przyzywając mnie. Od posągu dzieliła mnie wielka, niedająca się ogarnąć zmysłami pustka, krok po kroku, kurczowo trzymając się brzegu poszczególnych ławek zbliżałem się do majestatycznej figury, górującej nad tym zapomnianym pogorzeliem. Na plecach czułem lodowaty dreszcz przeszywający na wskroś całe ciało, grobowe stęchłe powietrze kotłujące się w pomieszczeniu drażniło nieprzyjemnie zmysły, przywołując na myśl obrzydliwe wspomnienia i plugawe wizje. Minęła dosyć długa chwila nerwowego napięcia, aż wreszcie udało mi się dotrzeć do ołtarza, wszedłem po trzech stopniach na podwyższenie i odruchowo odwróciłem głowę do tyłu, zobaczyłem wtedy olbrzymie mroczne pomieszczenie na krańcu, którego tuż przy wejściu biło tylko blade światełko... kilka metrów dalej pochłaniane przez oślepiający i paralizujący człowieka mrok. Natychmiast cofnąłem się w tył jak gdyby uciekając przed czarnymi mackami bestii, próbującymi wciągnąć mnie ponownie w tą niezbadaną otchłań. Pomędzy mną, a wejściem, nie licząc tego bladego przebłysku przy portalu wejściowym, panowała niepodzielnie diaboliczna czerń, która dosłownie raniła oczy człowieka; czerń do której wzrok przyzwyczajał się dopiero po chwili, wyłapując coraz to nowe szczegóły z otoczenia, niemniej jednak nie dając pełnego obrazu tego, na co się spoglądało. Mrok zazdrośnie strzegł tajemnic, które w sobie skrywał i najwidoczniej nie miał ochoty dzielić się nimi ze mną. W pomieszczeniu panowała grobowa cisza, nie słyszałem nic poza odgłosem swojego szamocącego się w klatce piersiowej, jak mały gołąb znajdujący się w śmiertelnym potrzasku serca; serca które najwyraźniej przeczuwając coś złego, było jak oszalałe, nie mogąc się uspokoić i zwolnić do normalnego rytmu, zupełnie tak jakby pompując krew szybciej, starało się dać mi większe szanse na ucieczkę. Na chwilę przymknąłem oczy próbując uspokoić skołatane nerwy, niestety nic to nie pomogło. Nie

robiąc zbytniego szumu obróciłem się na pięcie i znów go zobaczyłem. Posąg stał dalej zupełnie niewzruszony tym co się dookoła działo, trwał, tak jak gdyby nigdy nie wybuchła wojna, zupełnie jak gdyby nic się nie stało, kamienna twarz wpatrywała się cały czas tym samym udręczonym, ale w dziwny sposób spokojnym wzrokiem w mrok, a tym samym we mnie... Stałem jak wryty, ręce bezwładnie opadły wzdłuż ciała... po chwili zorientowałem się, że po moich policzkach pociekły łzy... jedna po drugiej, spływając po zniszczonej twarzy na ubranie, pozostawiając na nim wilgotne ślady... Osunąłem się na kolana i chowając twarz w dłoniach płakałem dalej, nie było mi wstyd, nie bałem się, że ktoś mnie obserwuje i zaraz zrobi mi krzywdę, płakałem bo byłem szczęśliwy... Po raz pierwszy od wielu lat poczułem znowu to coś - wiedziałem, że pomimo tego wszystkiego co mnie spotyka jestem przez kogoś kochany... wiedziałem, że ten zapomniany człowiek, o którym ja też zapominałem wciąż pamięta i pomimo tej całej udręki, która na nas spadła i pograżyła w najczarniejszych otchłaniach piekła on wciąż tam jest; wciąż czeka z wyciągniętymi rękoma... Klęczałem tak przez chwilę szlochając i patrząc na górujący nade mną posąg - jasny promień światła księżycy, który jakimś cudem znalazł drogę przez zawalony i zrujnowany strop budynku oblał całą postać i rozświetlił strapione rysy zapomnianego człowieka - wtedy coś do mnie dotarło. Zdałem sobie sprawę, że nadejdzie ktoś... kto przerwie samotność ludzkości... i ponownie wszystko się odmieni. Trwałem tak chwilę w zadumie ale wiedziałem, że na mnie już pora, wstałem i otrzepawszy kolana z pyłu rozejrzałem się raz jeszcze po kaplicy, moim oczom ukazał się ten sam znajomy jeszcze sprzed chwili widok, z tą tylko różnicą, że teraz się nie bałem. Idąc tak powoli między rzędami ławek i podziwiając to, co na zawsze zostało stracone zamyśliłem się na chwilę. Usłyszałem wtedy specyficzny odgłos tłuczonego szkła - zdałem sobie sprawę, że właśnie po nim stąпам. Zręcznym skokiem ominąłem leżące na posadzce, ostre jak brzytwa połyskujące w mroku kawałki, leżące tuż przy samym wyjściu z kościoła – najprawdopodobniej był to jeden z witraży wieńczących portal, tuż nad bramą wejściową. Obiecałem sobie wtedy, że jeszcze tu wrócę... Przypomniało mi się pewne zdanie, które ktoś kiedyś powiedział mi, gdy byłem załamany... dopiero teraz zrozumiałem sens tamtych odległych, jak dziesiątki tysięcy minionych nocy, słów...

„Kto nigdy nie zwątpił, ten tak naprawdę nigdy nie uwierzył... Pamiętaj, że my ludzie kierujemy się uczuciami, które są zmienne dlatego nigdy nie wolno tracić nadziei....”

Idąc dalej drogą na zachód rozmyślałem nad swoim znaleziskiem... Nie mogąc zdobyć się na jakikolwiek pozytywne działanie snułem się jak cień po zniszczonych ruinach budynków, przeczesywałem zrujnowane wraki samochodów w poszukiwaniu czegokolwiek, bezpowrotnie tracąc czas... Odnalazłem wreszcie swoje ślady, które zostawiłem na ziemi idąc w stronę ruin kościoła, obrawszy odpowiedni azymut zawróciłem w kierunku wytyczonego wcześniej szlaku

i wędrowałem tak z powrotem po swoich śladach aż do rozstaju dróg, niedaleko naszego domu. Kilka dni później znów wybrałem się na poszukiwania...

*

Nieopodal skrzyżowania Stanley'a i Hudsona zauważyłem dosyć liczną grupkę ludzi, którzy się na coś gapili, ich widok przykuł moją uwagę i ruszyłem z wolna w tamtą stronę. Kiedy byłem już na miejscu zupełnie osłupiałem. Na samym środku drogi rozgrywała się przedziwna scena. Widziałem jak jakiś mężczyzna katował kobietę, bijąc ją i poniewierając po ziemi. Bardzo mocne uderzenie łomu w kolano pozbawiło ją równowagi i upadła. Słyszałem jak z jej gardła wydobył się nieludzki krzyk, cała zakrwawiona i na pół przytomna z bólu błagała o pomoc, przez chwilę miałem wrażenie, że patrzy się na mnie. Pogruchotana kończyzna uniemożliwiała jej ucieczkę, jedyne co mogła zrobić to czekać leżąc na zbliżającą się śmierć. Byłem tak znieczulony tym wszystkim, że było mi już całkowicie obojętne kiedy patrzyłem jak on dalej okładał ją bez litości. W pobliżu było nas więcej, ale nikt nie zareagował, nikt nawet nie drgnął. Widziałem jak jedno z uderzeń wymierzone w czołkę zgmiotło ją jak papierową torbę, mimo to mężczyzna nie przestawał bić dalej... Okładał niemiłosiernie ciało raz za razem, aż wreszcie kiedy przestało stawiać jakikolwiek opór po prostu zdjął z niego ciepłą zimową kurtkę całą zabрызganą krwią i bez mrugnięcia okiem założył na siebie. Pręgi na wpół nagim ciele kobiety pozostawione po razach łodem nabiegły krwią, puchnąc zmieniały kolor z czerwonego na siny. Przypuszczam, że kobieta już wtedy nie żyła, bo nie słyszałem żadnych jęków. Kiedy było po wszystkim, mężczyzna rzucił łom na ziemię uciekając gdzieś w nieznane. Trup kobiety leżał bezwładnie w kałuży krwi, nikt nie ośmielił się podejść i sprawdzić czy można jej jeszcze jakoś pomóc. Zbliżał się wieczór i dzień pomału chylił się ku końcowi. Musiałem wracać do naszego schronienia. Zeskakując z kupki gruzu, na której stałem obserwując całe zdarzenie, posłałem jeszcze jedno spojrzenie w stronę truchła kobiety. Rozlana krew zaczęła pomału krzepnąć, w miarę jak stygła przestawała parować...

Droga do domu była daleka, bałem się, że mogę nie zdążyć przed zmrokiem, tym razem zapuściłem się przecież tak daleko na północ. W stronę rumowiska supermarketu wiodło kilka dróg, toteż wybrałem tą, jak mi się zdawało najbezpieczniejszą. Nie ryzykowałbym tak dalekiej samotnej podróży nie mając nadziei, że znajdę coś wartościowego, ale jedyne co udało mi się wygrzebać to kilka puszek z konserwową fasolą i groszkiem - Dobre i to jak - pomyślałem - przynajmniej Janete będzie miała co ugotować jutro na obiad. Ruiny supermarketu były oddalone o około dwie godziny drogi od naszego „przytulnego gniazdko”. Wiedziałem, że niebezpiecznie byłoby poruszać się wzdłuż głównej ulicy, bo nie wiadomo przecież kto lub co czai się w mroku, ale musiałem zaryzykować jeszcze bardziej i sprawdzić przynajmniej te kilka mieszkań na ulicy Hudsona. Wszedłem do jakiegoś na wpół zawalonego budynku, była to jedna z przedwojennych kamienic - żydowskich kamienic. Udało mi się przedostać przez zawaloną ceglany gruzem klatkę

schodową i następnie korytarzem, prowadzącym, gdzieś daleko w głąb tej zrujnowanej konstrukcji, do jednego z apartamentów na pierwszym piętrze, urządzonego całkiem przytulnie jak mi się wydawało. Było to przestronne mieszkanie dla całkiem sporej rodziny, na ścianach widać było jeszcze resztki tapety, której większa część już zaczęła pomału odpadać od tynku, obok masywnych drzwi frontowych wisiał nieco zblakły portret dziwacznej postaci z długimi pejsami i śmieszna czapka. Przeszukałem biurko stojące tuż na wprost wielkiego okna od strony pasażu sklepów, natknąłem się tam na srebrną papierośnicę z jakimś śmiesznym logo wygrawerowanym na zewnętrznej pokrywie, kolejna szuflada, którą próbowałem otworzyć była zamknięta na klucz. Szczęście, że miałem na nogach ciężkie buty, jedno mocne kopnięcie i zamknięta szuflada już nie stanowiła problemu, w środku znalazłem trochę pieniędzy, pozłacaną zapalniczkę i jakieś zdjęcia rodzinne, kiedy próbowałem wymacać ręką czy jest tam coś jeszcze moje palce napotkały coś co przypominało książkę. Wyjąłem ją i otworzyłem po środku, moim oczom ukazała się przedziwna sentencja, która na chwilę zmaciła tak długo wypracowywany spokój mojego umysłu:

„Wychodząc z piekła zapomniałem zatrzasnąć za sobą wrót... teraz mrok wlewa się szerokim strumieniem do tego świata...”

Usiadłem na krześle, wyjąłem papierosa i spróbowałem go odpalić. Niestety zapalniczka chyba nie była w najlepszej kondycji bo minęło kilka minut zanim udało mi się wykrzesać z niej ogień. Usiadłem na obrotowym fotelu, oparłem głowę o jego oparcie i zaciągnąłem się. W mojej głowie wciąż krążyła ta sentencja, przez chwilę zastanawiałem się nad jej sensem ale jakoś nic konkretnego nie przychodziło mi na myśl, wiedziałem tylko, że gdzieś już ją słyszałem... Moje smętne rozważania bardzo zręcznie przerywała inna myśl, nieco bardziej przyjemna jak mogłoby się zdawać - nie pamiętam kiedy ostatnio paliłem – pomyślałem - ale muszę przyznać, że czułem się dobrze. Błogi spokój, który mnie wtedy ogarnął minął tak nagle jak się pojawił. Usłyszałem jakiś szelest i natychmiast zerwałem się na równe nogi, chwyciłem w rękę kawałek stalowego pręta, z którym nigdy się nie rozstawałem i ruszyłem w stronę drzwi od następnego pokoju. Idąc tak cichutko przy ścianie usłyszałem po raz kolejny ten dźwięk – już wiedziałem, że w pomieszczeniu obok ktoś jest. W takich miejscach jak to, lepiej nie ryzykować i nie dawać przeciwnikowi forów – czasami atak z zaskoczenia może uratować życie. Czułem jak pot ścieka mi ciurkiem po szyi, a ręce drżą w niekontrolowany sposób. Byłem już pod samymi drzwiami i zdecydowałem się na szybką konfrontację. Jednym kopnięciem rozwaliliłem je z hukiem i wpadłem do pomieszczenia wrzeszcząc i wymachując na oślep łomem. Ku mojemu zdziwieniu nie zobaczyłem wewnątrz nikogo. - Co wydawało te odgłosy? - pomyślałem. Rozejrzałem się uważnie po pokoju, w jednym z kątów pomieszczenia zobaczyłem małego kociaka buszującego w słomie, o dziwo nie przestraszył się

mnie. Delikatnie odłożyłem łom na podłogę i podszedłem w jego stronę, mała bestia spojrzała na mnie z dołu swoimi wielkimi zielonymi oczami, kiedy schyliłem się żeby go pogłaskać zrobił zręczny unik i uciekając przede mną pobiegł gdzieś. Zabrałem łom i ruszyłem w jego kierunku, idąc korytarzem minąłem pomieszczenie z kuchnią - nawet się nie zatrzymałem, widać było, że ktoś już wcześniej tutaj buszował i zabrał co tylko nadawało się do zabrania. Westchnąłem i ruszyłem dalej w stronę drewnianych schodów prowadzących na wyższe piętra kondygnacji, a w zasadzie na kolejne piętro tego apartamentu. Mniej więcej w ich połowie tkwiła drewniana belka, która najprawdopodobniej odpadła ze stropu. Schody zatrzeszczały, kiedy wszedłem na kilka pierwszych stopni, a w powietrze wzbil się tuman dławiącego kurzu, na oślep wymacałem poręcz i zręcznym skokiem ominąłem kilka zarwanych stopni. Byłem już prawie na pierwszym piętrze gdy schody ponownie zatrzeszczały, tym razem wystraszyłem się nie na żarty i postanowiłem nie ryzykować śmierci pod ich ciężarem. Ale było już za późno – drewniana konstrukcja zaczęła się osuwać i runęła z trzaskiem na ziemię. Gdyby nie to, że mam więcej szczęścia niż rozumu najpewniej zginąłbym tam na dole, ale w ostatniej chwili wyciągając ręce do góry złapałem się wystającej belki stropu. Wisiałem tak chwilę oszołomiony w powietrzu, czułem jak moje ręce zaczynają drżeć, wiedziałem, że będzie kiepsko jeśli zaraz czegoś nie wymyślę. W końcu nie miałem zbytniej ochoty nadziać się na drewniane żerdzie służące mi jeszcze kilka sekund temu jako poręcz, ale czułem jak zaczynają mnie opuszczać siły. Nie widząc innego rozwiązania sytuacji zacząłem niezgrabnie podciągać się do góry. Byłem wyczerpany po wielogodzinnym marszu, nie jadłem zbyt syto ostatnimi czasy, więc, jak można się domyślić, ratowanie życia nie wychodziło za dobrze. Szczerze mówiąc w pewnej chwili już pogodziłem się z tym, że za chwilę spadnę i zginę, i wtedy w mojej głowie pojawił się obraz - Janete, która pewnie umiera z niecierpliwości czekając na mój powrót. Manipulując ciałem, resztką sił udało mi się zarzucić nogę do góry, zapierając się o jakiś mebel zyskałem jako takie oparcie, zaczynałem się podciągać, wszystko było już na jak najlepszej drodze i wtedy moja spocona dłoń rozluźniła uścisk – spadłem i zginąłem. Tylko żartuję, przecież kto miałby opowiadać dalej tą opowieść?. No ale co było dalej, otóż – Naprawdę czułem, że moje życie wisi na włosku i jeśli zaraz czegoś nie zrobię to ruiny tego domu staną się również moim grobem. Spiałem wszystkie mięśnie i jednym susem znalazłem się na górze. Na chwilę pociemniało mi przed oczami. Czułem jak mój umysł zatapia się w tym samym oślepiającym mroku, który widziały moje „niewidzące oczy” w chwili skoku. Tracąc orientację i gubiąc się w szaleńczym nurcie strachu, który targał moim bezwładnym ciałem, jak przeraźliwe fale małym okrętem unoszącym się na wzburzonej tafli wody, pośród złowrogiego i niekończącego się ryku rozszalałego huraganu zionącego znad lodowatych głębin bezkresnego oceanu śmierci. Napędzając sztormowe fale i nadając im miazdzącą siłę unicestwienia wszelkiego życia, które stało na ich drodze. Próbowałem oprzeć się temu porażającemu uczuciu, które omal nie przyprawiło mnie o utratę rozumu, zatracając

„mnie” w bezdennej czeluści zionącej grobowym chłodem i zapachem stuletniego kurzu, gdyby nie to, że przestałem wtedy zawierzać swoim zmysłom, które po raz kolejny starały się mnie zwieść, z pewnością postradałbym rozum. Po omacku wymachując ręką dotarłem do ściany i oparłem się o starą drewnianą komodę stojącą tuż przy zejściu na dół. Ogarnął mnie paniczny lęk, który spowodował, że ciężko było mi złapać oddech, ale kiedy wreszcie się to udało, uświadomiłem sobie co właśnie się stało, a właściwie co mogło się stać. Korytarz na którym się znajdowałem wyglądał na pozostawiony w całkiem dobrym stanie, na podłodze leżał dywan, trochę przykurzony ale w dalszym ciągu sprawiający bardzo miłe, domowe wrażenie. Zajrzałem do komody, która okazała się szafką na czapki i rękawiczki i zabrałem te, jak mi się wydawało, najcieplejsze, jedną parę dla mnie i drugą dla Janete. Oprócz tego znaleziska na tym piętrze nie udało mi się wydobyć niczego interesującego. Musiałem zacząć myśleć o powrocie.

*

Na ulicach zaczęło pojawiać się coraz więcej ludzi, próbujących wydobyć spod gruzów cokolwiek, co ułatwiłoby przetrwanie zbliżającej się zimy bez względu na cenę. Pewnego dnia, kiedy jeszcze wegetowaliśmy w naszym małym domku łudząc się, że jakimś cudem uda nam się tam przetrwać, przynajmniej do przyszłego roku, wybrałem się na poszukiwania czegoś do jedzenia, zapasy w spizarni, którą znalazłem wcześniej w piwnicy, zaczęły się pomału kończyć i musiałem znaleźć dla nas jakieś inne źródło pożywienia. Wędrowałem tak wiele godzin nie znajdując zupełnie niczego. Byłem bardzo głodny i czułem jak zaczynała mnie ogarniać desperacja. Swoją drogą to zadziwiające do jakich myśli skłania się głodny człowiek. Idąc tak zawałoną drogą, co jakiś czas zaglądałem do pustych mieszkań, szukając lodówki, ewentualnie jakiegoś zejścia do piwnicy, gdzie przypuszczalnie mógłbym znaleźć jakieś stare konserwy czy zaprawy skrzętnie przygotowane przez kochające matki dla swoich dzieci na zbliżającą się zimę. Niestety moje poszukiwania były bezowocne, jedyne na co udało mi się natrafić w jednym z pomieszczeń zrujnowanej kamienicy to gnijące truchło jakiegoś mężczyzny leżące na podłodze w pobliżu pieca kaflowego. Płyny ustrojowe, które już jakiś czas temu wylały się z trupa wydzielaly obrzydliwą woń, w rozkładającym się ciele jakieś owady najprawdopodobniej złożyły swoje jaja, bo widziałem jak z zapadniętej klatki piersiowej trupa wystaje wijąca się obrzydliwa biała glizda. Oślizły, pierścieniowaty stwór począł wgryzać się w nieboszczyka i ponownie zniknął w jego wnętrznościach. Ciało było dosyć mocno nadgryzione, nie wiem czy to przez dzikie psy czy po prostu ktoś głodny w akcie desperacji próbował skosztować ludzkiego mięsa... jedna z nóg była całkowicie rozszarpana, a brunatno-siną skórę korpusu gdzieniegdzie poprzebijały wystające zębra. Zasłoniłem usta i nos chustą, którą miałem przywiązaną do szyi i podszedłem bliżej. Wyjąłem z galaretowatej dłoni trupa, coś co jak widać kurczowo ścisnął tuż przed śmiercią, był to list zaadresowany do jakiejś Pani Shlumberbaum, dokładnego adresu nie udało mi się wyczytać. Kiedy

otworzyłem zszarzałą i nadpaloną kopertę wyjąłem z niej kawałek papieru, który był w równie kiepskim stanie jak sama koperta, list nie nadawał się już do przeczytania gdyż trupi jad, który sączył się z ciała rozmoczył kartkę i zatarł ślady liter. Postanowiłem jak najszybciej uciekać stamtąd w obawie przez zarażeniem się jakąś chorobą, wdychanie oparów z gnijącego trupa nie było chyba najlepszym pomysłem. Wędrowałem tak dalej opustoszałą drogą i muszę przyznać, że zacząłem tracić orientację, z pomocą przyszła mi jednak podręczna mapa, którą wygrzebałem kilka tygodni wcześniej spod zwalów jak mi się zdawało budki z fast-foodem, a w zasadzie spod gnijącego ciała jakiejś starej kobiety, zabitej jak przypuszczam przez ciężar spadającej na jej głowę konstrukcji. Zwłoki od pasa w dół były całkowicie pogrzebane pod gruzami, ale górna część ciała była zupełnie nietknięta, trup trzymał w ręce skórzaną torebkę, której szczęśliwie stałem się posiadaczem, a tym samym małej pomiętej mapy, przedstawiającej plan sytuacyjny Detroit. Zastanawia mnie czy ta biedna kobieta była świadkiem tego, że właśnie umiera, czy też zgon w wyniku szoku uprzedził jej świadomość i pozwolił cieszyć się błogostanem nieistnienia natychmiast. Odstąpiłem od takich wniosków, kiedy przyjrzałem się jej wysuszonej twarzy, dostrzegłem wtedy grymas nieopisanego bólu, który w dziwny wręcz sposób wykrzywił i zdeformował jej oblicze, może to świadczyć o tym, że była ona tak zaabsorbowana brakiem czucia w swoich zmiażdżonych kończynach i całym tym nietypowym wydarzeniem, które postawiło ją w tak niefortunnej sytuacji, że nawet nie zauważyła, kiedy cichutko przyszła po nią śmierć. Tak czy inaczej była martwa i nic mi do tego. Po wnikliwej analizie trasy, którą dotąd przebyłem stwierdziłem, że jestem gdzieś w okolicach ulicy Hudsona – hej przecież tutaj przed wojną była Nova Center, tam znajdę rozwiązanie większości moich problemów!

Czułem, że moje życie może się odmienić. Nie pozostało mi nic innego jak chwycić tobolek i ruszyć w drogę, co natychmiast zrobiłem. Spojrzałem na mój przedwojenny kwarcowy zegarek - zorientowałem się, że już dawno minęła siedemnasta, gdzieś w przestworzach nad głową słyszałem krakanie bardzo licznych stad wygłodniałych ptaków, które najwyraźniej szukały czegoś do jedzenia, podobnie z resztą jak ja. Nadchodziła zima i wszystko co żywe starało się w jakiś sposób zapewnić sobie przetrwanie. Z północy wiał chłodny przejmujący wiatr, który rozwiewał przydługie kosmyki moich potarganych włosów, tak że powiewały w lodowatej próżni w chaotyczny i niekontrolowany sposób. Denerwowało mnie kiedy wpadały mi do oczu, niestety nie miałem niczego co nadawałoby się do ich związania toteż musiałem radzić sobie jakoś z tym uciążliwym stanem. W pewnym sensie był to kłopot ale patrząc praktycznie, to dawały mi one w pewnym stopniu ochronę przed lodowatym wiatrem. Wiedziałem, że temperatura na pewno nie spadła poniżej zera, bo kałuże pozostałe po wczorajszej ulewie w zagłębieniach na jezdni nie zamarzały, ani nawet nie pokryły się cieniutką warstewką lodu, jak ma to zazwyczaj miejsce podczas popołudniowych przymrozków. To zadziwiające do czego zdolny jest wiejący wiatr,

pomimo tego co podpowiadał mi rozum, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że dziury w moich butach, które w żaden sposób nie chroniły mnie przed chłodnym arktycznym powiewem, dają mi cokolwiek oprócz psychicznego komfortu, że mam „coś” na stopach, co może uchronić je przed ewentualnymi odmrożeniami. Jak już mówiłem było naprawdę chłodno toteż otuliłem się ciepłej i ruszyłem jak mi się zdawało w dobrym kierunku, mając na uwadze dotarcie do ruin super marketu. Moje zdarte i podniszczone buty dawały dosyć wyraźnie znać, że już czas najwyższy rozejrzeć się za nową parą, gruba gumowa podeszwa już dawno zdarła się na kamieniach, a jeszcze do niedawna mocny i elastyczny materiał zaczął przecierać się w kilku miejscach. Reszta mojego stroju też nie była w najlepszej kondycji, jeansy już dawno przestały dawać jakkolwiek ochronę przed chłodnym jesiennym wiatrem, wielodniowe wędrówki w poszukiwaniu czegokolwiek do jedzenia sprawiły, że materiał stracił wiele ze swojej pierwotnej wytrzymałości, a wyświechtana kurtka, której jeden z rękawów był zupełnie w strzępach, rwała się niemal na moich oczach. Z tego co wskazywała znaleziona mapa wynikało, że ruiny, których szukałem były zaledwie kilka przecznic od miejsca, w którym się obecnie znajdowałem, tuż za starym blokowiskiem. Kończył się dzień, musiałem działać szybko, podjąłem decyzję, że muszę spróbować, bo nie wiem kiedy w przyszłości będę tak blisko tego miejsca. Z tego co słyszałem od spotkanych po drodze osób, nie było już tam czego szukać – ludzie opuszczali je, nie widząc tam żadnych perspektyw przetrwania. Podobno wyczerpano w tych rejonach już wszystkie zapasy, musiałem to sprawdzić nie dając wiary w bajdy o bandach kanibali grasujących po zmroku na ulicach i porywających przypadkowych wędrowców. Przyznaję, że strach był wielkim hamulcem, ale ludzie tacy jak ja, którzy nie mają zbyt wiele do stracenia, nie licząc własnego życia oczywiście, zapuszczają się jeszcze w te opuszczone przez Boga miejsca. Musiałem pokonać kilkunastominutowy kawałek drogi, aby znaleźć się na terenie blokowiska, potem tylko skok przez druciane ogrodzenie i już. Przedemną rozciągał się wielki plac, który przed katastrofą był zapewne tak zwanym pasem zieleni, czyli kolejnym z genialnych pomysłów rady miasta na zagospodarowanie nieużytków miejskich. Choć w sumie może był to dobry pomysł, mieszkając w betonowej klatce chyba łatwo dostać bzika, a kiedy wyjrzy się przez okno na przepiękną zieloną łąkę to znów powraca ochota do życia... tak, szkoda tylko, że teraz był to po prostu szary plac brunatnej, gliniastej ziemi, szerokości jakichś dwustu pięćdziesięciu metrów. Nuklearna jesień, a wcześniej obłędnie upalne lato, w całości pochłonęło wypalając i niszcząc doszczętnie wszelkie objawy organicznego życia, nie pozostawiając ani jednego źdźbła soczystej, zielonej trawy, a jedynie martwą warstwę jej butwiejącego truchła... Promieniowanie aż nader skutecznie zatroszczyło się o to, żeby w najbliższej przyszłości nic tu nie wyrosło. Roznoszący się dookoła odór rozkładu był wręcz niemożliwy do zniesienia, jestem pewien, że nie była to sama trawa ale raczej gnijące mięso, najpewniej jakiś zdziczały pies dostał się gdzieś nieopatrznie w pułapkę, z której nie mógł się

wydostać i zdechł z głodu. Jego ciało, poddając się wszechobecnemu procesowi rozkładu, wydzielało tą obrzydliwą, drażniącą zmysły woń. Próbowałem skoncentrować się na zadaniu, które sobie wyznaczyłem, ale ten zapach przyprawiał mnie o zawroty głowy i postanowiłem czym prędzej stamtąd uciekać i pobiec bliżej blokowiska. Po kilku sekundach intensywnego wysiłku byłem już na miejscu, niestety fetor nie zelżał ani trochę. Na wprost widziałem gigantyczne na wpół zawalone budynki, były one tak wysokie, że szczyty tych, które przetrwały, ginęły gdzieś wysoko w warstwie niebosiężnych chmur. Ich ogrom był tak przytłaczający, że wałaca się konstrukcja, mogłaby z łatwością zmiażdżyć mnie jak ciężki but małą bezbronną mrówkę - nie chciałem ryzykować utraty życia ale nie miałem wyboru. Pomiedzy ocalałymi wieżowcami wałały się gruzy tych, które zawaliły się wcześniej, niszcząc wszystko co stało pomiędzy nimi a gruntem. Szedłem ostrożnie, omijając gigantyczne bryły betonu, poszukując przejścia pomiędzy powykręcanyimi drutami i stalowymi elementami konstrukcji, starając się uważać żeby nie stracić sobie czegoś na głowę. Zatrzymałem się na chwilę, widok tych monstrualnych tworów ludzkich rąk był wprost niemożliwy do ogarnięcia. Pamiętam nowinki prezentowane w elektronicznych wiadomościach, którymi zasypywały głodnych wiedzy obywateli media w trakcie budowy tych kolosów. Radni miasta byli niezwykle dumni, że to za ich ośmioletniej kadencji miasto podjęło się tego gigantycznego przedsięwzięcia. Celem nadrzędnym była poprawa warunków socjalno-mieszkaniowych klasy średniej, żyjącej dotychczas w rozsypujących się antycznych kamienicach. To były odległe czasy, projekt zakończono jakieś dobre dziesięć lat temu, a jego zadziwiające efekty, opierając się niszczącemu działaniu czasu przetrwały aż do teraz w niemalże niezmięnionej formie. Zastanawiałem się, czy ktoś tu jeszcze żyje, ale jak wkrótce miałem się przekonać, przyjdzie mi gorzko pożałować tych nierozważnych dywagacji. Jaki ja byłem głupi, że zapuściłem się w ten rejon... to było do przewidzenia, że na pewno ukrywają się tutaj jacyś ludzie, ale zanim zdałem sobie sprawę z tego oczywistego błędu, który popełniłem było już za późno. Będąc w połowie drogi do super marketu, a mniej więcej w jednej trzeciej odległości stanowiącej obszar, na którym stały wieżowce, postanowiłem trochę odsapnąć i usiadłem na stercie gruzu, wpatrując się bezmyślnie w górę i podziwiając monumentalność tych przedziwnych konstrukcji. Rozmiary górującego nade mną kolosa były wręcz niemożliwe do opisanania, ludzkie oko z trudnością mogło objąć całokształt bryły składający się na tą ogromną budowlę. Zszarzały beton, w którym bez liku rozsiane były małe czarne punkciki, będące kiedyś oknami, sprawiał, że rysowały się one w bardzo widoczny sposób na tle nagiej ściany. W jednym z tych małych wizjerów dostrzegłem jakiś ruch, mniej więcej na wysokości szóstego piętra w budynku znajdującym się po mojej prawej stronie. Była to jakaś nieznamiona długowłosa postać ubrana w czerwony sweter, najprawdopodobniej kobieta - wymachująca w szaleńczy wręcz sposób rękami. Krzyczała coś niezrozumiałego w moją stronę, niestety byłem za daleko żeby wyraźnie usłyszeć słowa. Chwyciłem łom w rękę i pobiegłem

w stronę budynku - krzyki ustały. Wystraszyłem się i zwolniłem kroku. Szedłem powoli skradając się w cieniu zburzonego muru aż do samego wejścia bloku. Olbrzymia mroczna klatka schodowa napawała mnie przerażeniem, oberwane w niektórych miejscach schody odsłaniały niemożliwą wręcz do ogarnięcia pustkę. Za każdym razem kiedy musiałem wykonać skok nad takim miejscem serce przesuwalo mi się w kierunku gardła, pulsując bardzo szybko i dosłownie zalewając mięśnie krwią. Wiedziałem, że do góry jest ktoś, kto potrzebuje mojej pomocy, tylko dlatego odważyłem się iść dalej... Na wysokości czwartego piętra wyjąłem z plecaka łom, który schowałem wcześniej bojąc się, że go upuszczę podczas skoku. Przystanąłem na chwilę dając sobie czas na krótki odpoczynek - opierałem się o zimną, zakurzoną ścianę, wyętzając uszy i nasłuchując. Staralem się wyłowić choćby najmniejsze oznaki tego, że osoba, którą widziałem w oknie jeszcze żyje. Moje nogi dosyć wyraźnie odczuwały zmęczenie i nie pozwalały mi iść dalej. Usłyszałem wtedy gdzieś wysoko nade mną, prawdopodobnie jakieś trzy lub cztery pietra wyżej, odgłosy szamotaniny. Przerazony kobiecy krzyk i śmiech kilku mężczyzn, który niósł się echem po opustoszałej klatce schodowej. Odruchowo szukając schronienia, z którego mógłbym ostrożnie przyjrzeć się sytuacji, nacisnąłem na klamkę drzwi znajdujących się tuż obok mnie, niestety były zamknięte. Słyszałem jak krzyki zbliżały się coraz bardziej, a odgłos stóp stawał się coraz bardziej wyraźny. Natychmiast podbiegłem do następnych drzwi i znowu to samo – zamknięte. Kurwa – wymamrotałem do siebie - co ja teraz zrobię? Nie mając drogi odwrotu schowałem się w progu drzwi znajdujących się najbliżej schodów wiodących do góry – czekałem. Na swoje szczęście, piętro na którym się teraz znajdowałem było pozbawione okna, toteż na klatce schodowej panował gęsty mrok. Po kilku chwilach pojawiła się schodząca z góry, sylwetka brudnego wychudzonego mężczyzny, za nim dwóch innych trzymających jakąś pobitą do krwi kobietę, spętaną grubym sznurem. Na końcu pochodu szła postać trzymająca broń - chyba obrzytna – z tego co przynajmniej udało mi się zauważyć. Szczęśliwie nie zauważyli mnie, miałem atut zaskoczenia w rękach... kiedy przechodzili tuż obok miałem szansę zadziałać. Mocnym ciosem łomem wymierzonym w głowę ostatniego z napastników rozbiłem ją na wiele małych, ociekających krwią kawałeczków. Ci z przodu natychmiast zareagowali i rzucili się na mnie z szaleńczą agresją w oczach, ich ruchy były precyzyjne i dokładne. Jeden z nich trafił mnie w ramię i pogruchotał mi prawą dłoń, upuściłem łom. Drugi widząc moją bezbronność podbiegł i uderzył mnie z całej siły w piszczel, wyjąc z bólu przewróciłem się, i zaczęli mnie kopać swoimi ciężkimi buciorami po głowie i brzuchu. Czulem jak tracę przytomność. Ciemność... Głosy... Ból... Miałem wrażenie, że spadam w bardzo głęboką ciemną studnię, obijając się o jej ostre brzegi, które szarpały moim ciałem i raniły je. Mrok nie przejaśniał się, a w miarę jak się w nim zanurzałem wręcz gęstniał. Wiedziałem, że jeżeli za chwilę się nie obudzę to „uderzę o dno” co będzie równoznaczne z moim końcem. Straciłem przytomność. Uczucie odrętwienia, które sprawiało, że moje mięśnie nie są w stanie poruszać kończynami powoli

ustawało. Czulem piekący ból w okolicach skroni; czulem, że po policzkach ścieka mi coś ciepłego i lepkiego, w ustach dominował słony smak potu pomieszanego z krwią... Okropnie bolały mnie przeguby rąk i stóp. Opuchlizna na twarzy nie pozwalała mi w pełni otworzyć oczu, zaropiałe prawe oko zdawało się wcale nie reagować na polecenia mózgu, który cały czas starał się uzyskać nad nim władzę. Bolało mnie wszystko. Gdzieś przed sobą słyszałem przyciszone głosy moich oprawców, a obok mnie jęki jakiegoś człowieka, który był poturbowany tak samo jak ja. Minęło około pół godziny zanim doszedłem do siebie w stopniu, który umożliwił mi jakąkolwiek orientację w sytuacji. Byłem skrepowany. Moje ręce były przywiązane do rzeźnickiego haka wystającego ze ściany, a nogi owinięte bardzo starannie grubym na cal sznurem, który skutecznie uniemożliwiał mi jakikolwiek ruch. Pomieszczenie, w którym się znajdowałem nie było zbyt rozległe, ceglane brudne ściany nie były nawet pomalowane, a zewsząd unosił się odór podobny do tego, który czulem idąc w stronę blokowiska. Nawet gdyby udało mi się jakimś sposobem oswobodzić z krępujących mnie pęt, to nie miałbym żadnych szans na ucieczkę. Dopiero teraz dostrzegłem, że miejsce, w którym się znajdowałem było odgrodzone od reszty pomieszczenia kratami. Brudną betonową podłogę pokrywały pozostałości jakiegoś mięsa... wszędzie dookoła były smugi od krwi - pokrywały zarówno ściany jak i posadzkę... Chyba wszyscy wiecie jak pachnie krew, a litry, które były tutaj rozlane wydzielaly tą obrzydliwą woń, którą czulem wcześniej będąc na zewnątrz... To była chyba jakaś stara piwnica, nie widziałem żadnych okien toteż nawet nie próbowałem wzywać pomocy... Przychodziły mi do głowy najczarniejsze myśli, ale nigdy nie pomyślałbym o tym scenariuszu, który miał stać się za kilka chwil rzeczywistością... Jakaś postać zbliżyła się do drzwi mojej celi. Usłyszałem dziwnie znajomy grobowy głos... Osoba, która otwierała kraty uśmiechała się szyderczo w moim kierunku. Moja ciężka od licznych obrażeń głowa nie pozwalała mi myśleć w sposób do końca racjonalny. Dopiero po chwili dotarło do mnie kim on jest.

- Ty pierdolony bydlaku! Co mi kurwa zrobiłeś! - Odruchowo zacząłem odsuwać się do tyłu.
- Podobno jedzenie ludzkiego mięsa ryje banię, ale jak kurwa widzisz ze mną jest wszystko w porządku! - wymamrotał z szyderczym uśmiechem, który pojawił się na jego bladej jak śmierć twarzy – usłyszałem wtedy dziki plugawy rechot, który roznosił się dookoła, odbijając się głuchym echem od nagich ścian pomieszczenia... Jego trupio blada dłoń sięgnęła do kieszeni

- mężczyzna wyjął z niej mały, lekko przyrdzewiały skalpel i przystawił go do swojej krtani z szaleńczym uśmiechem wpatrując mi się prosto w oczy... Miałem podobne odczucia jak wtedy, gdy spotkałem go pierwszy raz... to niemożliwe do zniesienia spojrzenie przewiercało się na wylot przez moją czaszkę, przyprowadzając mnie o zimny dreszcz, przesywający ciało na wskroś... Zemdlałem...

- Kątem oka spojrzałem w kierunku Bofrowskiego. Mężczyzna siedząc do mnie tyłem poruszał energicznie przedramieniem, wydając przy tym nieregularne odgłosy przypominające sapanie i ciche westchnienia.
- Zaraz kurwa! Co ty robisz?! - wykrzyczałem. Totalnie zaskoczony odwrócił głowę w moją stronę, spoglądając przez ramię jednym okiem. Jego głupkowata twarz wykrzywiona w obrzydliwym grymasie zdziwienia pomieszanego z zażenowaniem, zdawała się wyrażać pretensję, że przeszkodziłem w czymś BARDZO istotnym...
- Niii... - wymamrotał tylko po cichu i wycierając rękę o spodnie odwrócił się w moją stronę, zupełnie jak gdyby nic się nie stało.
- Dosyć tego, mam cię kurwa dość! Wracamy do obozu... Idziesz pod topór bydlaku, na nic innego nie zasługujesz. Przystawiając mój niezawodny kozik do obierania ziemniaków do jego głowy, spętałem mu dłonie i dźwigając go z ziemi popchnąłem do przodu.
- Ale ja słuchałem, słowo! Nie rób mi krzywdy... - wymamrotał.
- Zobaczmy, jak zapewne wiesz na tym świecie trzeba płacić za ignorancję. Ty zapłacisz żniwiarzowi.

Mężczyzna zaczął wydzierać się wniebogłosy i przepraszać. Wił się w pętach jak śliski mokry węgorz w rękach poławiacza, próbujący kąsać i ranić aby zwrócić sobie za wszelką cenę wolność. Szedłem w milczeniu, popychając go do przodu. Po dwudziestu minutach wędrowki wkroczyliśmy na peryferia osady. Mijaliśmy „odrestaurowane” domy, w których zamieszkiwali inni współobywatele; pseudo farmy, na których pasło się zmutowane bydło. Wielkie krowy, których maślane oczy wędrowały wzrokiem po nieboskłonie w poszukiwaniu uykających gdzieś w oddali promieni zachodzącego słońca... Ich tęskne mądre spojrzenia były wprost urzekające. Czasami lubiłem oprzeć się o ogrodzenie i wpatrywać się w nie godzinami. Zastanawiałem się, co siedzi w ich głowach, o czym myślą, o czym marzą, jakie są ich pragnienia. A one tak jak gdyby nigdy nic, po prostu żuły trawę i patrzyły się na mnie maślanym wzrokiem, mieląc ozorem raz w prawo raz w lewo, jednym monotonnym, powtarzalnym rytmem. Kiedy miałem zły nastrój, a zwłaszcza gdy wspomnienia dawały o sobie zbyt dotkliwie znać, rzucałem w nie kamieniami i obserwowałem z głupim uśmiechem na twarzy jak bodą się wzajemnie rogami, albo kopią koślawymi kulasami. Wiem, że to głupie ale uwierzcie mi, że cholernie odstresowujące. Teraz prowadząc przed sobą spętanego Bofrowskiego zamyśliłem się na chwilę. Z umysłowego odrętwienia wyrwała mnie rozmowa zasłyszana gdzieś z kamienicy, obok której przechodziliśmy:

- Chodź do łazienki, zobacz co się stało!
- Znowu nasrałeś do wanny!
- To nie ja! To... kot!

- Widziałeś tu jakiegoś kota od ostatnich dwustu lat?!
- To nie ja! To kot!
- Wszystko powiem rodzicom!

Dalej słyszałem już tylko płacz i jakieś dzikie wrzaski. Zrobiło mi się weselej na duszy, zapłakanemu Bofrowskiemu chyba też, bo przestał płakać i uśmiechał się – jak zawsze głupkowato.

- Ja też kiedyś do wanny... - wymamrotał.
- Zamilcz lepiej - Zdzielilem go kijem po plecach i szarpiąc za sznur popchnąłem do przodu.

Odstawiłem go do punktu zatrzymań. Kilka dni później sędzia oznajmił wyrok. To znowu mi przypadło w udziale zajęcie się tym typem spod ciemnej gwiazdy...

- Ale super, że znowu się spotykamy Funky! Dobrze cię widzieć zmurszały grzybie! Czy to, że tu jestem oznacza, że jestem wolny? - niemalże wykrzyczał do mnie z promiennym uśmiechem na twarzy, odsłaniając wszystkie pozostałe w jamie ustnej, pożółkłe zęby.
- Nie – odpowiedziałem. Nastąpiła chwila ciszy.
- To po co mam zbierać ten suchy chrust? Nie będzie grilla z okazji mojego uwolnienia? ...
- Niezupełnie – odparłem - „grill” będzie ale z tobą w roli głównej... Zbieraj i nic nie gadaj.
- Super, uwielbiam niespodzianki! - zaintonował ochoczo.
- Co za pojeb... - pomyślałem i bez słowa przyglądałem się jak zbiera suche drewno i układa je na stos, po środku którego stał wbity długi drewniany pal.

Bofrowski ocierał rękawem podartej koszuli pot, zalewający mu całą twarz, kapiący z brudnego, dawno niemytego czoła i spoglądał na mnie co chwila ukradkiem.

- A tak w ogóle to co się stało po tym jak zemdlałeś w tej piwnicy u tych ludzi i kogo tam zobaczyłeś? - zapytał.
- Huh... skoro cię to interesuje... zobaczyłem Mike'a, tego rudowłosego typa z początku opowieści. Okazało się, że był kanibalem i razem z koleżkami wyłapywał ofiary na blokowisku. Najpierw je okaleczali, torturowali, wyłupiając oczy... wypalali flaki stalowymi, rozgrzаныmi do czerwoności narzędziami... łamali kończyny w niemożliwy wręcz do ogarnięcia sposób... ale oszczędzę ci lepiej tych opisów, to i tak nieistotne. Wtedy, gdy wszedł do celi, nie przyszedł po mnie, zabrał najpierw tego, który leżał nieprzytomny na materacu obok.
- Co się z nim stało? - zapytał Bofrowski - słyszałem jak w oczekiwaniu na odpowiedź głośno i nerwowo przełknął ślinę, która żadną miarą nie chciała zwilżyć zaszuszonego gardła.
- No co, ciągnąc go za nogi wtaszczył go do dużego mrocznego, oświetlonego tylko kilkoma pochodniami pomieszczenia, które znajdowało się na wprost mojej celi. Najpierw obciął mu lewą dłoń i wtedy ten nieprzytomny facet ocucił się, drąc się wniebogłosey i trzymając drugą sprawną ręką za kikut, błagał o litość. Mike zdzielił go łomem w głowę i już było cicho. Potem obciął mu drugą dłoń i odłożył na stół, dalej przyszła kolej na stopy, uda i wnętrzności. Wyjął

wątrobę i wgrzył się w nią od razu. Była jeszcze ciepła - zdaje się, że w powietrzu unosiła się para i woń ciepłego mięsa, jaką czasem czuje się od rzeźnika. Mike ćwiartował pieczołowicie ciało, dosłownie biło od niego szaleństwo, dziwny zachwyty, który mu towarzyszył podczas tego makabrycznego procederu czuło się na odległość, to było nienormalne... ten zachwyty... to obrzydliwe. Kroił tego biedaka i śmiał się; cały czas się śmiał. Upajał się widokiem krwawiącego mężczyzny i mięsa, które dotykał swoimi bladymi rękami... zanurzając długie smukłe palce w trzewiach ofiary, wyciągając z nich coraz to nowe, upstrzone na czerwono, kawałki mięsa... Po dużym drewnianym stole, na który odkładał półciartowane części ciała spływała strużkami krew, zalewając podłogę w pomieszczeniu i wabiąc tym samym roje much, które już zaczęły zlatywać się na ucztę... Zdaje się, że wtedy znowu zemdlałem.

- To ohydne! Jak udało ci się uciec Funky?!
- Nie udało! zjedli mnie – żartuję oczywiście. Kiedy ten parszywy drań wreszcie się nasycił, wszyscy poszli spać. Uznałem to za okazję do ucieczki i resztkami sił, które mi pozostały starałem się uwolnić z pęt. Niestety bezskutecznie. Następnego ranka, kiedy usłyszałem, że moi kanibalistyczni przyjaciele wstali, zjedli pożywe śniadanie i poczęli rozchodzić się, w poszukiwaniu najprawdopodobniej „obiadu”, dostrzegłem kolejną szansę na ucieczkę. Udając, że śpię, starałem się nie zwracać uwagi tamtych... w duchu miałem cichą nadzieję, że złapią kogoś i nie będę tego wieczoru daniem głównym na kolacji. Kiedy już wyszli, szamocąc się jak tylko mogłem – nie wiem jak mi się to udało - ale przetarłem linę krepującą ręce. Dalej droga była prosta... rozwiązałem pęta krepujące stopy i rozcierając obolałe kończyny z trudem stanąłem na nogach. Pod stopami czułem lepką maź, która przywierała do podeszw butów... to budziło we mnie obrzydzenie. Najgorsze było to, że pochodnie, które rozświetlały wczorajszą biesiadę zgasły, a właściciele nie pokwapili się żeby wymienić je na nowe żagwie. Macając lepką i wilgotną ścianę sunąłem na ślepo po mrocznych korytarzach piwnicy, kierując się na północ... miałem wrażenie, że moja wędrówka nie ma końca... Droga okropnie mi się dłużyła... już po kilku minutach moja stopa natrafiła na jakiś owalny kształt, którego na moje szczęście nie udało mi się zidentyfikować... mogę tylko zgadywać czym ów owal był... to był dopiero początek... Błądziłem około trzydziestu minut w zupełnych ciemnościach aż tu nagle poczułem na twarzy chłodny powiew świeżego powietrza. Postanowiłem skierować się w jego, z której dochodził jego strumień. Decyzja okazała się słuszna, chwilę później znajdowałem się przy wyjściu z piwnicy. Wstawał właśnie nowy dzień... Pomarańczowo-czerwone promienie słońca oblewające betonowe ruiny budziły we mnie niesmak... Rozejrzałem się po okolicy i nie zauważając nikogo z moich oprawców puściłem się biegiem, aczkolwiek bardzo ostrożnie, w kierunku domu. Kilka godzin później byłem już na miejscu...
- Zgadnij co się stało? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia – wyjąkał - Bofrowski, którego najwyraźniej moja opowieść przeraziła do szpiku kości - stał nieruchomo, gapiąc się we mnie, tymi swoimi krowimi oczami, przepelnionymi w tej chwili niemożliwym do opisanego strachem... - swoją drogą to zrozumiałe, ja też wtedy cholernie się bałem.
- Otóż w domu nie zastałem nikogo, ani Janete ani dziecka, na stole w kuchni leżał list.
- Jak to? - zapytał ze zdziwieniem mężczyzna.
- Po prostu mnie zostawiła, odeszła, napisała, że „to już nie to”, że bardzo mnie przeprasza, ale to koniec... Widzisz... prawie zostałem zjedzony żywcem przez kanibali, na wpół żywy biegłem co tchu żeby się uchronić przed śmiercią... wracam do domu a tu bach, kula w serce. Szukałem jej przez wiele dni, ale nie natrafiłem nawet na najmniejszy choćby ślad. Zabrała ze sobą zapasy i odeszła.... Czasami człowieka chce trafić szlag... ale co ja mogę na to poradzić...
- A jak to się stało, że jesteś teraz ghulem? Co to ma wspólnego z tą całą historią?
- Kiedy wędrowałem po ruinach tego parszywego miasta przyszło mi na myśl żeby odwiedzić szpital, który jest na peryferiach i zabrać medykamenty, które mogą mi się przydać w przyszłości.... Miałem też cichą nadzieję, że może ją tam spotkam... nie wiem, kierowało mnie jakieś dziwne przecucie po prostu, nic konkretnego. Szpital leżał tuż za miastem, niestety było to w pobliżu krateru... Dotarłem tam, zabrałem co trzeba i przy okazji przyjąłem niemal śmiertelną dawkę promieniowania. Zastanawiam się co mnie wtedy uratowało od śmierci... zdaje się, że miałem po prostu szczęście i chyba nic poza tym. Przez kilka dni zdaje się, że byłem nieprzytomny. Ale kiedy już się ocknąłem i zobaczyłem co się ze mną stało, przypomniały mi się opowieści, o tych, których nazywano ghulami... Przeraził mnie mój wygląd... ta ohydna transformacja w obrzydliwe, wzbudzające strach, monstrum... z drugiej strony byłem wdzięczny za to, że żyję... Wędrowałem przez miasto wiele dni w samotności, żywi, których spotykałem uciekali przede mną w popłochu... Rany, które pojawiły się na moim ciele w skutek promieniowania utrudniały mi poruszanie się i w dużej mierze pozbawiły mnie zręczności, którą cieszyłem się wcześniej. Nic przyjemnego, mówię ci. Zacząłem wtedy szukać istot podobnych do mnie, wiedziałem, że przetrwanie w pojedynkę jest niemożliwe. Kilka tygodni później natrafiłem na małe skupisko ghuli w południowej dzielnicy Detroit. Jakoś tak wyszło, że mnie przygarnęli do siebie no i jestem! Miałem dużo czasu na przemyślenie mojej straty... aż za dużo trzeba przyznać. Co noc myślałem o moich kobietach, gdzie są, co się z nimi dzieje, co teraz robią... bałem się, że nierozwaga Janete, mogła kosztować jej życie. Samotna kobieta z dzieckiem w totalnej dzicy... Z drugiej strony, teraz kiedy o tym myślę rozumiem ją, wiem, że chciała dobrze... miała w końcu prawo do szukania szczęścia... każdy je ma. Szkoda tylko, że ja nie potrafię swojego odnaleźć... Ale mniejsza z tym.

- Przepraszam, że zapytałem... to ja już lepiej pozbięram ten chrust... - Mężczyzna spojrział w górę, zaczynało już powoli zmierzchać... Pomarańczowa posoka rozlewna każdego wieczoru przez odchodzące do krainy śmierci słońce, poczęła ustępować nieubłaganie miejsca wdzierającej się na świat ciemności...
- Patrz uważnie... - Jak ty w ogóle masz na imię Bofrowski?
- Mam na imię Dick - odparł.
- No tak... mogłem się domyślić. Przypatrz się dobrze temu widokowi, dziś oglądasz go po raz ostatni.

Gdzieś z oddali dobiegał stłumiony głos jakiejś kobiety... Odwróciłem głowę w tamtą stronę.

- Ale on jest wybitnym człowiekiem! Nie możecie tego zrobić!
- Nie, nie, wszystko w porządku, proszę strzelać – oznajmiła postać i z promiennym uśmiechem skinęła głową w stronę katów.

Pluton egzekucyjny bez chwili zastanowienia wymierzył w serce skazanego i chwilę później sześć kul przeszło jego serce na wskroś. Postać osunęła się na kolana... co dziwne na jej twarzy widać było dalej ten sam, drwiący uśmiech. Ponownie spojrzałem na biednego Bofrowskiego...

- Streszczaj się – wybąkałem – Musimy zdążyć zanim się ściemni...

FIN

cartman333@wp.pl